Nr. 42. Poznań, Niedziela 20. października 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Ul. św. Marcina 22, II.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Sprawy szląskie.

(Gorętsze zajmowanie się sprawą wyborów. — Brak funduszu agitacyjnego. — Zarzekanie się czynnej agitacyi. — Obłuda — Górą mielizny. — Radwański a Napieralski.)

Każdemu, kto obserwuje sprawy szląskie, podpaść musiało w ostatnim czasie jakieś gorętsze zajęcie się sprawą, a mianowicie sprawą wyborów do sejmu pruskiego w okręgu pszczyńsko-rybnickim. Widomym objawem tych zabiegów było zebranie w Żorach, na którem lud polski w tych stronach po raz pierwszy stanął na stanowisku dotąd tu nieznanem, bo radykalnie polskiem. Katolickie gazety niemieckie węszą w tem, jak wszędzie w podobnych razach, agitacyą wielkopolską, a o mało co, że nie wymieniły źródeł funduszów agitacyjnych, z których rzekomo nasze pisma górnoszląskie czerpały środki materyalne. Że my też wciąż ci sami — niepoprawni! Tego, co do prowadzenia każdej wojny jest zawsze najpotrzebniejsze tj. w obecnym przypadku fundusz agitacyjny, o który nas przeciwnicy jako o coś naturalnego i nieodzownego posądzają, tego w istocie nie ma. Nie ma na ten cel ani szeląga publicznego na całym Szląsku. Może niejeden posądzi lud o obojętność dla spraw publicznych i sknerstwo, — zaiste, że i pod tym względem jeszcze wiele pozostaje do życzenia, lecz dotąd nikt ofiarności ludu szląskiego na powyższy cel nie próbował, więc i pesymistycznych wróżb wytaczać nie wolno. Część naszej prasy tutejszej lęka się czynnej agitacyi wyborczej i nie może zrozumieć, że bezczynność jej w tym wypadku jest występkiem przeciwko własnym interesom i interesom polskości.

To szukanie jakiejś drogi pośredniej pomiędzy chęcią spodobania się swym czytelnikom, a obawą utraty łask wpływowych germanizatorów graniczy częstokroć z obłudą. A jakże nazwać ubolewanie jednego z naszych prowodyrów nad tem, że ulegając wpływom postronnym z okazyi wyborów do sejmu w pszczyńsko-rybnickim okręgu za daleko się zaangażował, zamiast starym trybem siedzieć w kącie i czekać, czekać bez końca.

Nie daj Boże nowej porażki, bo ci, którzy za daleko się niby posunęli, gotowi dla solwowania swej skóry na przyszłość całkiem się schować. Górą mielizny — na głębiach giną!

Redaktor „Katolika“ p. Adam Napieralski ofiarowanego mu mandatu poselskiego do parlamentu w pszczyńsko-rybnickim okręgu nie przyjął. A szkoda. Jeżeli kto, to p. N. miałby wszelkie dane po temu, by zwyciężyć. Jakiekolwiek mieć on może powody do uchylania się od ofiarowanego mu mandatu, tyle zdaje się być pewnem, że żaden z nich nie wytrzyma porównania z powodem, dla którego inaczej postąpić był powinien. Powodem, w imię którego publiczny głos p. N. na kandydata powoływał, jest dobro sprawy polskiej, tej samej sprawy, której p. N. dotychczas jako redaktor „Katolika“ w miarę sił swoich służył i w służbie tej zyskał popularność.

Ta popularność właśnie daje panu N. wyższość nad obecnym kandydatem p. Radwańskim, bo pan N. dla wszystkich bez wyjątku Polaków stanowi *znaną* już siłę dodatnią, podczas gdy dzielność p. R. pod względem narodowo-polskim jest dotąd nieznaną i mimo wielkiego zaufania jednostek, szerszych mas za sobą pociągnąć nie może. Wybór Radwańskiego jest o jednę trzecią mniej pewny, bo kandydatura Napieralskiego byłaby niewątpliwie jednę trzecią głosów więcej zgromadziła, niż p. R. ich w dniu 27 b. m. odbierze. Z tem wszystkiem nie traćmy nadziei, że p. Radwański zwycięży, byle tylko mężowie głównego sztabu z odrazy do suggestyi „zapaleńców“ wstecz się nie cofali.

Chim.

POLITYKA.

PRZEKLEŃSTWO I BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

W sprawie głośnych walk Kościoła z ks. Stojałowskim zamieściła „Wiener Allg. Ztg.“ z 8 b. m. pod nagłówkiem powyższym artykuł następującej osnowy:

„Zawsze niesłuszną jest rzeczą używanie w walce partyjnej broni wyznaniowej. Przekleństwo czy błogosławieństwo duchowieństwa nie jest żadnym argumentem i według przepisów kodeksu karnego nie wolno posługiwać się tymi środkami. Przypominamy, że pewnego rabina za użycie tej broni przeciw jednemu z posłów żydów pociągnięto do odpowiedzialności. Niestety, innym uchodzi to bezkarnie, kler katolicki używa tej broni dowolnie i walczy nią przy każdej sposobności. Wprawdzie nie ekskomunikują dziś nikogo, ale prawie to samo osiągają za pomocą listów pasterskich.

„Kto w Austryi nie zna nazwiska ks. Stojałowskiego. Od dziesiątka lat czynny biorąc udział w ruchu ludowym, niezliczoną moc razy na więzienie zasądzony, zawsze wraca do swego i słowem prócz pisma walczy przeciw hegemonii szlachty i porządkom administracyjnym w Galicyi. Władze mają ciągle z nim do czynienia, a także hierarchia kościelna ściga go subjektywnemi i objektywnemi procesami. Wyroki prasowe, wydane przeciw ks. Stojałowskiemu, liczą się na dziesiątki, a biskupi galicyjscy rok rocznie wydają przeciw niemu i jego pismom listy pasterskie. Świeżo w przeddzień wyborów znowu wydali czterej biskupi list pasterski, zakazując czytać jego pisemka „Wieniec polski“ i „Pszczółkę“ pod utratą zbawienia wiecznego. Uczynili to w chwili, gdy ks. Stojałowski odsiadując karę aresztu, nie mógł się bronić.

„Jaki skutek odniosło pismo biskupów, tego nie wiemy, ale to pewne, że nie mogło się ono przyczynić do podniesienia powagi Kościoła. Włościanie widzą po jednej stronie księdza, który do nich zawsze przemawiał w imię Boga i wiary, a po drugiej także księdza, który fanatycznego apostoła religii chrzci mianem odstępcy od wiary. Nawet najbardziej naiwny włościanin rozpoznać musi, że obydwie strony używają broni religijnej do walki o rzeczy świeckie. Jednej i drugiej stronie wojującej brak chrześciańskiej pokory. Wielokrotnie pokonany ks. Stojałowski potrafił się podnieść i podjął walkę na nowo. Biskupi gnębili go karami kościelnemi, on podjął tę samą broń i udaremnił zamiar. Przeciw potępiającemu listowi pasterskiemu biskupów otrzymał 20-go września wprost z Rzymu błogosławieństwo papieża dla redakcyi owych pism. Zamiary biskupów zostały skutecznie udaremnione, ich przekleństwu przeciwstawił ks. Stojałowski błogosławieństwo nieomylnego papieża.

„Aby rozjaśnić te sprzeczności, używa klerykalny „Vaterland“ wybiegu już poprzednio raz praktykowanego. Mianowicie twierdzi, że w Watykanie nie mają czasu przepatrywać tysięcy telegramów, nadchodzących w uroczyste dni, że odpowiada się na nie bez wyjątków, że więc nadużycie bardzo łatwo trafić się może. W każdym innym wypadku możnaby temu uwierzyć, tylko nie w tym, gdzie rozchodzi się o ks. Stojałowskiego, którego nazwisko dobrze jest znane w Watykanie tak z czasów jego pielgrzymek, jak z rozlicznych skarg episkopatu i procesu kanonicznego. Dowodzi to tylko, że w Watykanie ścierają się dwa prądy — co jedni przeklinają, to inni błogosławią“.

Przegląd prasy polskiej.

Pod nagłówkiem „Gazety polskie w opałach“ donosi „D z i e n n i k K u j a w s k i“ w numerze 237:

„Na redaktorów polskich pism sypią się od niejakiego czasu procesa i kary jak z rogu obfitości. Niedawno skazaną została „Gazeta Gdańska“ na 500 mrk. kary i koszta, co razem wynosi około 1000 mrk. Pan Kulerski, redaktor „Gazety Grudziądzkiej“, który latem zapłacił znaczne grzywny, zasądzony został co dopiero na 3 miesiące więzienia. „Gazeta Toruńska“ ma aż 4 procesy naraz. Pan Chociszewski, były redaktor „Dz. Kuj.“, dostał przed kilku tygodniami miesiąc więzienia. „Katolik“ i „Nowiny Racib.“ miały świeżo kilka procesów. Odpowiedzialny redaktor „Gońca W.“, pan Bolewski, jeszcze nie zdążył odsiedzieć jednego miesiąca, który mu niedawno wyznaczono, a już zasądzono w tych dniach na dalsze 2 miesiące wieży“.

Do wiadomości powyższej dołącza „G a z. G d a ń s k a“ w nr. 121 następujące uwagi:

„Gdzie drwa rąbią, tam drzazgi padają — mówi przysłowie. Prasa polska mimo procesów bez liku, mimo kar dotkliwych nie może nie stać na straży wszystkiego, co nam święte. Uniknąć procesów możnaby chyba wtenczas, gdyby się nie pisało o najżywotniejszych sprawach miejscowych, lecz o Chinach, Afryce, Ameryce — ale cóżby wtenczas była warta prasa, gdyby nie broniła „narodowego pamiątek kościoła“, jak mówi wieszcz?

Zresztą na pociechę możemy zaznaczyć, że pisma polskie są rzeczywiście odbiciem sposobu myślenia i sądzenia całego społeczeństwa polskiego — nie są odosobnione, ale mają tysiące głów i serc za sobą, które myślą i czują porówno z niemi. Mieliśmy tego niezbite dowody, otrzymując po procesie liczne listy od naszych czytelników, listy świadczące, jak wielce współczuje lud polski ze skazańcami redakcyjnymi. Jeśli zaś tak jest, to w górę serca! w górę czoła! Redaktorzy pism polskich, jeśli im cierpieć przychodzi, to cierpią w tem błogiem przeświadczeniu, że nie są odosobnieni, że mają tysiące serc współczujących za sobą — a takie przeświadczenie dodaje otuchy, męstwa i ujmuje połowę cierpień“.

—

Wśród rodaków naszych, zamieszkałych w Westfalii, toczy się od dość dawnego już czasu zacięta walka między zwolennikami O. Andrzeja, Franciszkanina, dążącego niedwuznacznie do zgermanizowania westfalskich Polaków, a zwolennikami dawniejszych rządów ks. Lissa, który bądź co bądź sprawiedliwiej kierował sprawami narodowemi. Zatargom tym poświęca „G a z e t a G d a ń s k a“ następujące uwagi w nr. 122:

„Wogóle z wszystkiego, co w ostatnich czasach dochodzi do publicznej wiadomości z Westfalii, wnosić można, że zanosi się tam na ciężkie dni dla rodaków naszych. „Wiarusa Polsk.“, którego dla obrony rodaków naszych przed socyalizmem założył ks. dr. Liss, nazwał pono O. Andrzej pismem socyalistycznem, a gdy redakcya tego pisma wezwała O Andrzeja do odwołania tego pod groźbą wniesienia skargi do sądu, O. Andrzej napisał do „Oręd.“, że tego, co powiedział nie odwoła i czeka, aż go redaktor „Wiar. Polskiego.“ przed sąd nie zawezwie. Jak się tam rzeczy miały z odezwaniem O. Andrzeja z „Wiarusem Polsk.“, nie wiemy dokładnie, ale fakt, że O. Andrzej posługuje się jakąś centrową „Kroniką tyg.“, i podobnemi pismami, a z „Wiar. Pol.“ nie chce mieć nic do czynienia, dowodzi, że O. Andrzej chce rodaków naszych napędzić do obozu centrowego i tym sposobem zniweczyć wszelką dotychczasową pracę innych księży Polaków, którzy zachowanie narodowości polskiej uważali obok religii za najlepszą tarczę przeciw socyalizmowi.

O. Andrzej, sądząc po zbyt śmiałych jego wystąpieniach jak na księdza klasztornego, widocznie nie jest odosobnionym i działa zapewne z natchnienia pewnych sfer, które dążą do zgermanizowania Polaków za każdą cenę.

Naszem zdaniem owe sfery, czy duchowne czyli świeckie, grubo się mylą, jeśli sądzą, że będą miały zdrowy element ze zniemczonych Polaków — przeciwnie, przez zniemczenie zapędzą ich w przeważnej części w objęcia socyalizmu. Droga to więc śliska i niebezpieczna. Myśmy pod żadnym warunkiem nie powinni dopuścić na podobne igranie z ogniem i dla tego wzywamy rodaków naszych z Westfalii, aby kierowali się rozsądkiem, aby umieli rozróżnić sprawy religijne od spraw narodowych i społecznych i wiedzieli co oddać Bogu, co cesarzowi, co konsystorzowi, a co samym sobie, jako Polakom. O. Andrzej nie ma prawa wkradać się w sferę naszych interesów narodowych. Rodacy nasi niech więc podejmą walkę, jaka ich czeka, niech w niej będą twardzi i nieugięci — ale także przezorni!“

—

Bytomski „K a t o l i k“ rozwija nareszcie więcej energii w akcyi polityczno-narodowej i bierze rozbrat z taktyką trwożnego wyczekiwania. W sprawie ponownej kandydatury p. Radwańskiego w okręgu pszczyńsko-rybnickim znajdujemy tam artykuły ciepłe i jaśniejsze, które niezawodnie sprawie naszej lepiej się przysłużą od dawnej połowiczności, chwiejności, oziębłości. Poniżej przytaczamy ustęp z dzielnej pobudki wyborczej, zamieszczonej w nr. 120:

„A więc teraz co żywo do agitacyi wyborczej za p. Radwańskim. Tu się odzywamy w pierwszym rzędzie do szan. czytelników „Katolika“. Oni wszyscy dobrze sprawę rozumieją i też dobrze wiedzą, że „Katolik“ nigdy im na złe nie radził. Ruszcie się, a dołóżcie starań, aby ten kandydat nie przepadł. Musimy się starać, aby takich mężów, którzy z ludem trzymają, popierać, bo przecie wszyscy wiedzą, że lud niewielu takich mężów posiada.

Każdy czytelnik „Katolika“ niech sobie uważa za obowiązek agitować mocno za p. Radwańskim. Niech czytelnicy nasi będą przywódzcami, niech pokażą innym, którzy nie czytają, że oświata daje rozum, który potrafi osądzić, co lepsze. Niech żądają od redakcyi numerów „Katolika“ na rozdanie, chętnie bezpłatnie prześlemy. A nie wierzcie takim bajkom, że tu chodzi o jaką niedozwoloną agitacyą wielkopolską. Tu chodzi jedynie o sprawę ludową, o jak najlepszego posła dla ludu katolicko-polskiego.

Cały lud na was patrzy. Weźcie sobie za przykład powiaty Bytomski, Tarnogórski i Opolski, gdzie kandydat ludu p. Szmula zwyciężył. Patrzcie na dzielnych wyborców Prudnickich, którzy jak mur stali za p. Strzodą i go obrali. Czyby to tylko u Was tak mało ducha, serca, rozumienia sprawy i odwagi być miało, iżbyście nie zdołali posła podług Waszej woli przeprowadzić? Pokażcie, że chcecie i umiecie się bronić i o sobie radzić. Szczęść Wam Boże!“

—

Sprawie wyborów na Górnym Szląsku poświęca „O r ę d o w n i k“ następujące uwagi:

„Z G. Szląska dziwne nadchodzą wieści, a im bliżej wyborów w okręgu pszczyńsko-rybnickim, tem wieści dziwniejsze.

W gazetach tamtejszych polskich i niemieckich walka toczy się na dobre. Co chwila słychać, że księża rzucają gromy z ambon na pisma polskie narodowe. Spór toczy się niby — o kandydata.

Tak jest, kandydat to jest ten pagórek, który oba obozy dla siebie chcą zająć, ale w gruncie rzeczy walka nie toczy się o ów pagórek, o kandydata. Walka toczy się między żywiołem niemieckim a polskim. Toczy się o to:

żeby zdławić ruch ludowy polski, na G. Szląsku powstający, a zdławiwszy go,

żeby dostać cały lud pod siebie i zwolna, łagodnie zatopić go w niemczyźnie, by lud na G. Szląsku przestał być — polskim.

O to się toczy walka, a spory między gazetami, spory o kandydatów poselskich to nie cel walki, tylko teren, grunt, na którym się ta walka rozwija...

Dziś stosunki tak się układają, że reprezentanci władz pruskich stoją przy maszynie, jaką wobec żywiołu polskiego system pruski ustawił i tę maszynę po służbie obsługują; wprost nie występują przeciw ludowi polskiemu, jak się to działo jeszcze za owych czasów, kiedy na G. Szląsku, w W. Księstwie i w Prusach Zach. śledzili osobiście każdy ruch polski specyalni komisarze polityczni, znani Rexowie. (Rex był jak wiadomo wielkim nieprzyjacielem Polaków.

Tych dawniejszych Rexów zluzowali dziś lub chcą zluzować — księża — nie wszyscy, ale pewna część.

Księży ma dziś lud polski przeciwko sobie na G. Szląsku i co się pruskim urzędnikom nie udało, tego księża mają dokazać Położenie ludu jest więc dziś gorsze i niebezpieczniejsze; bo dawniej miał lud do czynienia z przeciwnikiem znanym w otwartem polu, dziś zaś z przeciwnikiem księdzem, którego doostatniej chwili uważał za przyjaciela swej narodowości a przynajmniej za obojętnego.

Dla nas bardzo ważną rzeczą jest śledzić manewra i taktykę, w jaki sposób niektórzy księża chcą lud posski dostać w swe sieci pod hasłami katolicyzmu, aby go potem razem z tą siecią wprowadzić do niewodu niemieckiego“.

LITERATURA I SZTUKA.

Współcześni poeci polscy.

(Piotr Chmielowski: Współcześni poeci polscy, Petersburg, 1895, str. 494.

Chmielowski w nowym tym zbiorze szkiców i opracowań literackich użył całej zasobności i wszechstronności analitycznego swego umysłu

---

MARYA KOMARNICKA.*)

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Dokończenie.)

WANDA.

Nie przeceniam, lecz tak!... podporządkowuję mu wszystko, bo on jest celem wszystkich społecznych programów, jego rozwój ostatecznym celem wszystkich ludzkich wysiłków i koroną przyrody. Chcemy, by masy były zdrowe, wolne i syte, by te polepszone warunki zewnętrzne dały jego myśli się rozwinąć. Chcemy swobody... swobody czynów i myśli! Czyn jest tylko wynikiem myśli i środkiem do zdobycia nowej! (*z zapałem*) Przybądź wielki dniu sprawiedliwości, dniu swobody, dniu bujnego rozwoju człowieka, dniu nieskrępowanej energii... przybądź, wspaniałe królestwo myśli!...

LEON (*zgrzytliwie*).

Ogień słomiany!... A cóż pani ze sztuką zrobi w państwie myśli?

WANDA (*gorąco*).

Jam dziś odzyskała swobodę wobec absurdów pana! Pogardzaj pan, jeżeli chcesz tą wielką syntezą ludzkich wrażeń, uczuć i czynów, tym pomnikiem umarłych istnień i sprężyną przyszłych działalności!... Pogardzaj pan z wyżyn praktyczności społecznej tym potężnym czynnikiem rozwoju. Depcz to wielkie, porywające zwierzenie ludzkości przed ludzkością tym wspaniałym międzyludzkim związkiem przyjaźni... I kłam, mówiąc, żeś nie doznał nigdy uczucia zachwytu i złudzenia przed dziełem sztuki, że coś nieznanego nie zadrgało w tobie pod wpływem muzyki, że z przeczytania książki nie zostało ci nigdy nic w duszy! I to ci mało! I to pobudza cię do szyderstw i bluźnierstwa temu, przed czem dusza może nawet twoja klęka (*chwyta go gwałtownie za ramiona*) A ty człowieku! — ty przedstawicielu społeczeństwa! gdybyś wiedział, co za jad wprowadziłeś do mej duszy, zatruwając w niej wiarę w racyę bytu swej natury i jej objawów! Jak wykrzywiłeś serce, które dziś nic bez obawy nie czuje i które wątpi... tak wątpi, że już nigdy tego, co czuje, nie wypowie z trwogi przed bezwiedną blagą i kłamstwem! Jak zaciemniłeś wyobraźnię, która dziś drży przed możliwą pokutą za to, co stworzyła!... tak!... Wyście postąpili ze mną jak z nikim! Komu wyrzucacie bezużyteczność, egoizm, obłudę?... Komu czujecie się w prawie rzucać kwestyonaryusze śledcze. W czyje życie zagłębiacie się z taką okrutną bezwzględnością?... (*śmieje się gorzko*) Ha, ha! Blaga subjektywizmu nowa! Wszak nie wyście mnie skrzywdzili, krzywdzi mnie moje własne sumienie, które chwyta każde wasze oskarżenie, w które każden wyrzut, rzucony przez życie, wpada głęboko, w którem pytanie każde odbija się tysiącznem, naglącem echem. aż znajdzie odpowiedź zawsze szczerą i najczęściej złą! I poczuło się ono do bezużyteczności, do jałowej pracy, zabawki. Czy słusznie?... I nawet na chwilę zmuszoną byłam uznać w wielkim buncie i udręczeniu, że zmienić mi się trzeba... ja, wicher na skorupiaku w kredowej skale! Nie wyście winni, winne sumienie moje!...

LEON (*porywczo*).

Wando!...

WANDA (*gwałtownie*).

Nie przerywaj pan!... Słuchałam twych oskarżeń, słuchaj moich teraz! Ja się przeciwko wam buntuję!... Bo wy glistom ziemnym i gadom lęgnącym się w błocie żyć pozwalacie, lecz mnie nie! Bo wam wszystkim wolno żyć według możności lub chęci, — we mnie jest to zbrodnią... A dla czego? Dla czego? Ja wam powiem, kiedy nie wiecie, lub wyznać nie śmiecie sami!... Wam nie chodzi o użyteczność

*) Wskutek niedopatrzenia podawaliśmy dotychczas mylnie nazwisko autorki. Autorką „Skrzywdzonych“ nie jest Komornicka lecz Komarnicka.

(Przyp. Red.)

w celu wydobycia na jaw choć jednego prawdziwego arcydzieła poetyckiego z bogatej stosunkowo galeryi tegoczesnego naszego rymotwórstwa. Wyznaje jednak z żalem, że poszukiwania spełzły mu na niczem, że w poezyi dzisiejszej, odznaczającej się wielką rozmaitością nastrojów wewnętrznych i obfitością form kunsztownie rzeźbionych, spostrzegać się daje ubóstwo, a nawet zupełny brak rozleglejszych pomysłów, wielkich kompozycyi i — orlich lotów. Liczne imiona śpiewaków dowodzą, że jest śpiew i jest śpiewność, ale w sposobie śpiewania „nie tyle znać słowików lub nawet skowronków, ile pięknemi głosami obdarzonych kanarków, ślicznie odtwarzających wyuczoną nutę...“ Porównanie wspaniałe; z wielu względów starczyć ono może za streszczenie rozmyślań i uwag krytyka: dla czego się tak dzieje i zkąd się ta „uczoność“ wzięła.

Jednakże reguła przypuszcza wyjątki. W tegoczesnej poezyi polskiej są one liczne i ważne. Najgłówniejszy, zdejmujący nieomal z czoła naszych młodych wieszczów stygmat „kanarkowości“ polega na tem, że sami pisarze doskonale wiedzą zarówno o mimowolnem swojem upośledzeniu, jako też i o właściwych celach swojego powołania. W książce Chmielowskiego są na to przykłady przekonywające. Zbierzmy z nich kilka; stanowią one pewną całość, zniewalając nas zarazem do ukochania i uczczenia w szczegółach i jednostkach tego, co w ogólnym wyniku wyraziło się niemocą, rozbiciem, powszedniością.

Czem jest poezya, czem być powinna? Odpowiada na to pierwszy zaraz z kilkunastu pisarzy, umieszczony w zbiorze Chmielowskiego, autor „Widziadeł“, „Satyry“ i „Fragmentu powieści“, Leonard Sowiński: „Jeżeli chcesz być wieszczem bratnich ciżb, więc rzuć gruchania ckliwe, mądrość liczb, zdawkowych poziom wyobrażeń, — a stań się słowem wielkich wrażeń, sumieniem w ciemny wpływającem gmin, pamięcią żywą bohaterskich wrażeń i wiarą uzbrojoną w czyn“ (30). Wiadome powszechnie życie Sowińskiego: nałogowość smutna wśród trudów i wyrobnictwa literackiego. Więc w drugim z tegoż zastępu rozbitków, pełnym niegdyś największych obietnic, twórcy „Salwatora“, „Niebieskiej sonaty“, „Pytania“, „Bogumile Aspisie“ znajdujemy już tylko skurczone, korne, szyderstwem zatrute życzenie, ażeby losy zgotowały kiedykolwiek poetom naszym choć taką dolę, jaką ma szewc ze swego szydła i swojej dratwy. „Co trzeba zrobić — jest na to pewnie sposób łatwy? — by wśród próśb ludzkich powszechnych do nieba o szczęście, mógł je mieć równo mistrz łzawy rymów za rym swój jak za but — mistrz dratwy...“ (82).

Ale tuż zaraz na nowo, z Asnykiem, z Konopnicką, z Felicyanem (Faleńskim) wzbijamy się na takie wyżyny, że nawet najlichszy z naszych pisarków drugorzędnych podnosi powoli senną głowę i na pół obłąkanem wodzi dokoła pytaniem: Skądże ten pijak, ten wyrobnik, ten nędzarz spitalny, — „gdy mu namaści usta światłość błoga, drży w sobie cały i dostaje mowy? — Bowiem jest synem słonecznego boga, więc mimo głazu ziębiące okowy, święta mu z serca wypływa pożoga“ (56). I choćby niejeden z nas, „światłością namaszczonych“ zeszedł w znękaniu i strapieniu z nakazanej drogi, opuścił posterunek przykazań wielkich, przynaglony „księżycowe nikłe tęcze, rozwieszone mgły pajęcze na leciuchne tkać przędziwa, chore serca do snu tulić, białych dziewic wiotkie żale stroić w świeżej krwi korale i filonów dniowe troski w harmonijne zlewać głoski“ (90), to jednak: „sursum corda!“ niech żywi nie tracą nadziei! — berło świata zawsze w tej samej spoczywa dłoni... „Więc ja mam głos!... Pobitych krzyk jest we mnie — i łuny miast i winnic spustoszenie, i miecza ostrz przenika mnie tajemnie — i cisną mnie zelżywych pęt rzemienie... (180).

Niestety, te nasze okrzyki i te nasze łuny brzmią najczęściej i płoną — tylko jak toast, tylko jak rumieniec przy uczcie. „My tyle właśnie mamy zapału, ile go mieści czara z kryształu; tyle uniesień, co pian w tej czarze i tyle ognia, co w tym puharze... Ludy się kędyś prą falą mętną, szumem ich wzbiera dziejowe tętno, nad żaglem trzeszczą maszty przegniłe, to tylko żyje, co żyć ma siłę — a nam tymczasem młynek na strudze obraca plewy swoje i cudze... Górą mielizny! Na głębiach — giną. Niech żyje wino!... (176). A te znowuż cisnące stopy rzemienie nasze? — Cisnąć, to one cisną niewątpliwie. Ale czy nas tylko?... To jedno. Powtóre, czy pewni jesteśmy, żeśmy je wyłącznie nosili, że innym nie narzucaliśmy ich nigdy?... Ilekroć poeta, znużony podniebnym swej duszy protestem, zniży cokolwiek poziom swych wzlotów i powie sobie: „ja będę latać jako ptak zraniony, nizko, nad ziemią tą, co w bólach kona, i jak jaskółka bijąc w skrzydła drżące, latać ja będę nad nizkie zagrody, nad pola nasze i lasy szumiące i modre wody“. (170), czy zawsze wolno mu będzie zawołać z Asnykiem do matki ziemi karmicielki: „na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty, a ty stosowne nam wyznaczasz grządki; każdy tu dla się znajdzie grunt bogaty, swych poprzedników kwiaty i pamiątki, i każdy łacnie na tej własnej niwie może zakwitać silnie i szczęśliwie...“ (123).

Przewidział i to autor „Z walk życia“ i „Z prawd życia“, Kazimierz Gliński. Są niziny i są moczary, do których dostęp otwarty być może jedynie chartom i — myśliwemu; reszta służyć chyba będzie w roli naganiaczy... Nie, naganiaczami nie będziemy — powiada poeta. „Ja, który chciałem omdlałemu światu myśli siew złoty sypać dłonią hojną, dzisiaj mam rzucić świat marzeń tęczowy i własnych pragnień zaprzeć się nikczemnie?...“ Nie! — piszmy raczej o niczem. „Znasz różne pieśni — śpiewaj!... Lecz o czem? Gdzie znajdę przedmiot do pieśni?... Wiem, są pochyłe dworki i strzechy, i spora ludzi gromadka, i stare cnoty, i nowe grzechy, i pacierz siwego dziadka; i są marzenia w sercu dziewiczem, i w chmurach skrzydła sokole — jednak śpiewać muszę o niczem — i wraz liryczną kląć dolę!“ (327). Daremne to są wszakże usiłowania, zwodniczy na siebie samego lament. Każdą na świecie potęgę usidlisz, każdego potwora uśpisz, — czujności ducha nie zmożesz. „Jak ptak nad morzem, tak na skraju świata myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata, i wskroś przeniknąć pragnie nurty mętne i w ciszę rzuca pytanie namiętne“; jeżeli przeto nie dziś, to jutro, jeżeli nie szerokim gościńcem, to wązką drożyną trafi ona „na ciche pola, gdzie ranek bije smugami złotemi — i ciepłem słowem przemówi o ziemi, którą uprawiać przypadła nam dola, o jutrze, które wyorać nam trzeba“ (181). Że się to stać może, że to nieodmienna różnorodnych naszych zabiegów meta, na której ten, „co wieki chodził ciemny, przejrzy przez nas biedny lud, błyśnie w głębi blask tajemny, stanie się światłości cud“ — zadatkiem i rękojmią po temu są takie klejnoty poezyi współczesnej, jak olśniewający swą strojnością i prostotą wiejską wiersz nieodżałowanego Stanisława Grudzińskiego: „Niech o niej pieśni za całą chwałę powiedzą, że lata nizko, jak ptaszę małe nad miedzą; że towarzyszy pracy pokornej wśród potu, i nie zaznała żądzy niesfornej odlotu; że cicha, słaba, wznieść się nie może w niebiosy, i widzi całe nieba przestworze w łzach rosy, i że najmniejsza gwiazdka srebrzysta jej gwiazdą, a światem dla niej łąka ojczysta — i gniazdo“ (255).

Żywot ziemski takich mistrzów słowa, takich serc tkliwych i kochających trwa wprawdzie krótko; prześlicznie powiedział Czesław: „Zmilkł dźwięk w strunie zerwanej: przyszedł — poszedł nieznany, — ot i życie śpiewaka“ (220). Ale brata nietylko na mogiłę bracia zaniosą — jeszcze go i zastąpią. Alboż inaczej sny swe złote w chwilach natchnień rzeźbi twórca „Pustkowia“, „Paryasa“, „Z nizkich lotów“, Wiktor Gomulicki, ilekroć obdarza nas

---

mej pracy, lecz o zmianę mej duszy!... Wy *mnie, mnie* nie znosicie, bom do was niepodobna! Bo błędem dla was jest to, czego w was nie ma! Więc złem we mnie jest moja twórczość, moja potrzeba szerokiej myśli i swobodnego życia; moja dusza złożona, nie grzebiąca się w codziennym pyle; moja niepodległość, duma, wyobraźnia, moja siła! Całe moje odrębne, mężnie czoło wobec wszystkiego podnoszące indywidualne *ja!* — to tajemnica nienawiści, którą mnie otaczacie! Bo wy byście mi przebaczyli złe, lecz tylko złe, leżące w zakresie *waszych* ujemnych czynów! Przebaczylibyście wszystko współwinowajcy!... Lecz jam od was odmienna, więc zadziobać mnie chcecie, jak wróble sowę!...

LEON (*gwałtownie*).

Wando!...

WANDA (*zamyka mu porywczo usta dłonią*).

Nie mów pan, niech wyrzucę z siebie piekło nagromadzonej goryczy!... Wiedzże raz, czegoś ty chciał odemnie! Nie wielkiego i dobrego czynu, lecz pospolitości, szablonu! Wyrywałam się z zapomnienia szerszych światów, w którem żyłeś, więc ty, wściekły za to przerwanie ciszy, złączyłeś się z gawiedzią, by mnie szarpać i zdławić! I udało ci się szarpanie, bo nie należysz do duchowego motłochu i bo, chcąc skłamać, oszukać mnie, mówiłeś często prawdę! Czujesz, że mogę dopiąć rzeczy trudnych, że jest we mnie siła poświęcenia się i zgonu dla wielkich bóstw, jak siła twórcza! I siły mojej nie znosisz, chcesz odemnie tego, czego nie ma we mnie, mieszczańskiej pogody życia, pracy od śniadania do obiadu, wspaniałej równowagi wymoczków w kropli wody. I nie dopiąłeś tego, lecz wywichnąłeś mi duszę i zachwiałeś na chwilę, zbudzeniem wątpliwości, twórczością moją! (*wstrząsając nim*) Jeżeli uczyniłam ci co złego, ciesz się!... Zemściłeś się!

LEON (*gwałtownie*).

Wando, Wando! Tyś okrutna! niesprawiedliwa! Ty chyba zaślepiona twoim bólem i walką, przestałaś moje pamiętać! Jam się szarpał przeciw twej mocy... jam bronił swej duszy przed twym wpływem... Jam ci słuszność przyznawał w głębi, lecz buntowałem się przeciw twej bezwiednej może tyranii! Jam ogarnąć chciał twą duszę i z rozpaczy, że mi się wymykała dawniej i przed chwilą, miotałem szyderstwa i na pół obłąkane słowa oburzenia!... Ty się narażasz Wando!... jesteś w niebezpieczeństwie i chcesz, bym obojętnym wobec tego pozostał! Wando, Wando, dla czego ja się tak szarpię, gdy cię tak kocham!

WANDA (*z gorzkim zapałem*).

Tak, kochasz, bo nienawidzisz. Bo natura twoja w miłości bezwiednie szuka odwetu, którego by w zemście nie znalazła! Ślepe dziecko, piłko własnych popędów, ty nawet nie wiesz, że twa dawna nienawiść, jak dzisiejsza miłość, są tylko dwoma stadyami jednego procesu, przemieniającego się zewnętrznie, lecz zawsze tego samego pragnienia ujarzmienia, zdruzgotania mnie?... Twe *ja* niepodległe wolą o oswobodzenie się od mojego; a kiedy nienawiść nie uwolniła cię od więzów, więc kochasz! W miłości jest wyzwolenie od władzy kobiety dla mężczyzny. Ty chcesz posiadać moc, która cię skrępowała! Ty chcesz wolności! (*z ironią*) Twoja miłość!

LEON (*oburzony*).

A ty chcesz mnie zawsze mieć niewolnikiem!

WANDA (*gorzko*).

Nie — wyzwalaj się! Zapomnij! Jam nie zastawiała na ciebie sieci, bo nie umiem, jam cię bezwiednie tylko skrzywdziła, jeżeli cię skrzywdziłam! Zapomnij! Czas dokona tego samego, co miłość i życie wspólne: oswobodzi cię odemnie! Więc czy to nawet warto płątać się w pętach nowego życia, gdy jego wynik równa się zeru!... Tyle zyskanego, że ty unikniesz losu Kazia, a ja na sumieniu będę miała jedną krzywdę mniej.

LEON (*gwałtownie porywa jej ręce*).

Więc ty mnie jednak kochasz! Jam to czuł niekiedy w twych spojrzeniach i głosie! (*z prośbą żywą*) Wando, Wando, niech ci duma twoja milczeć teraz nie każe, powiedz, że mnie kochasz, jeżeli kochasz!...

cudnemi swemi niespodziankami: „wesołe tylko budząc w życiu echa, niechaj ofiary biorą od nas wszędzie: miłość i rozkosz, piękno i uciecha — lecz wprzód niech głodnych pośród nas nie będzie!“ (208). Albo ż do innych krain dążył, ku innym światom ciążył Mikołaj Biernacki (Rodoć), kiedy po przez zaciśnięte sarkazmem usta wyrywały mu się pobożno-dziękczynne strofki: „Gdy powiodę okiem po niebie wysokiem, po świata kobiercu, gdy z miłością w sercu widzę piękne w każdej porze nasze polskie niwy — widzę Ciebie, dobry Boże! — i jestem szczęśliwy“ (280). Nawet w gronie „mniej szczęśliwych“ lub „najmłodszych“ naszych pieśniarzy nuta ta wciąż się powtarza, jako zapowiedź świetniejszego rozkwitu poezyi. Smutnie, ale nie z samolubnych pobudek, w Józefie Wierzbickim: „Słuchaj mię, bracie, mniej kwiatów o wiośnie, więcej łez trzeba; wtedy twa dusza z łez owych urośnie w górę do nieba, wtedy ci serce społeczny ból skruszy, wtedy usłyszysz wśród nizin do koła skargę ludzkości, co ciągle w twej duszy — ratuj mnie! — woła“ (408). W pewnem przyćmieniu dykcyi staroklasycznej, lecz również nie bez siły u Julii Terpiłowskiej, autorki „Borysa“: „Komu zdobyć praw do życia nie dano żelazem, ten je weźmie siłą pracy rąk splecionych razem“ (435). Silnie i doniośle u Miriama (Zenona Przesmyckiego): „Przeklęci, którzy jęczą i płakać uczą gmin, i siecią snów pajęczą zastąpić myślą czyn: cierpliwej pracy wielkiej dziś na nas przyszedł dział, musimy być jak kropelki, co żłobią głazy skał“ (442). Szerzej jeszcze i rozgłośniej u Jana Kasprowicza: „Za romantycznem nie gonimy kwieciem i egzotycznej nie pragniemy woni; nasza poezya — echem cierpień ludów, pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni“ (465). Górnie i dumnie u Tetmajera, gdy mówi o człowieku zbiorowym, że „naturze skarbów wziął tysiące, na szczytach wiedzy tron swój wzbił i patrzy w bytów tło drzemiące, jak król, choć jest wśród nich jak atom“ (475). Dzielnie, świetnie i huczno u Andrzeja Niemojewskiego; „Nad skargi serc małych, nad zwątpień otchłanie, my dumnie podnieśmy dziś czoło, ulecim jak ptaki zwiastując świtanie, zwiastując ludzkości dziejowe zadanie — wesoło my lećmy, wesoło!“ (487). Spokojnie, cicho i uroczo, ale w tej samej zawsze idealnie-poziomej dążności u Włodzimierza Wysockiego: „Kocham pogodną, cudną jesień naszą, jesień rumianą, dostatnią, obfitą, która na łąkach stawia sterty z paszą, i sypie w zasiek pszenicę i żyto“ (310).

Bez wątpienia są to wszystko luźne, pojedyncze jeszcze tylko zwrotki i połyski bądź obietnicy, bądź groźby, bądź zaklęcia; czuć atoli, że się z nich zwolna i stopniowo składa całość owego wszechpoematu, o którym powiada Gomulicki: „Bohaterów pieśń tworzy i unieśmiertelnia, w dłonie mężów miecz wciska, laur kładzie na głowy i kreśli pierwszy zarys budowy“ (194). Światów nowych, ani arcydzieł staremu światu nieznanych, tegocześni nasi poeci nie stworzyli; ale pośród owej strasznej ducha martwoty, jako według słów Adama M-skiego, spada niekiedy na złamane ludy i „najdzielniejszym mężom gnuśnie pleśnieć każe“ (310), każdy z nich o sobie powiedzieć ma prawo słowami Włodz. Zagórskiego: „Przez tę skrę boską, co we mnie zaklęta, tęskni do źródła, zkąd wzięła poczęcie, przez ten głód prawdy, co ziemi odjęta — przez to wszechdobra i bóstwa pojęcie, przez to, że myślą w nieskończoność płynę — jam duch nad ziemską wywyższony glinę“ (275). Więc wszystkim im — i tym, co przed nami idą, i tym, co za tamtymi w przyszłość podążają, powiedzmy z Asnykiem na pożegnanie: „Idźcie! jak światła przystoi czcicielom, oświecać drogi ludzkiego pochodu ku coraz wyższym i jaśniejszym celom!“

J. T. Hodi.

Kobieta na scenie.

II.

W poprzednim artykule (Nr. 40) naszkicowaliśmy obraz losu artystki dramatycznej w Niemczech — obraz, w którym przeważają barwy ciemne i ponure nad różowemi — obraz, tchnący smutkiem i beznadziejnością. Nie o wiele pomyślniej, przynajmniej pod względem materyalnym, przedstawia się stanowisko kobiety niemieckiej na innych, pokrewnych polach pracy.

Przechodzimy do rozpatrzenia jednej z takich dziedzin — muzyki. Śpiewaczka ma w Niemczech przed sobą dwie drogi, by dać się bliżej poznać publiczności; może ona wydawać koncerty na własną rękę lub przyjmować zaproszenia na występy gościnne od towarzystw muzycznych. Pierwsze przysparza wiele nieprzezwyciężonych trudności dla nowicyuszki. Figurujące na afiszu nieznane nazwisko, do którego reporter kuryerkowy nie przyczepia całej litanii przymiotników w superlatywie, nie jest wabikiem dla publiczności, nie zaciekawia, nie nęci — a więc nie „robi“ kasy. W wielkich miastach, gdzie jest powódź talentów, gdzie za przystępną cenę dają się słyszeć koryfeusze miejscowi i zagraniczni, koncerty przynoszą po większej części straty. Od października do marca odbywa się w Berlinie co najmniej 600 koncertów. Nieraz artysta, stojący na cyplu sławy, niepotrafi uniknąć niedoborów w kasie. Dla początkującej artystki pozostaje jedno wyjście, wprawdzie smutne i upokarzające, lecz konieczne, jak czasem połknięcie n. p. gorzkiej pigułki: szukanie protekcyi u krytyków i w kołach haute finance, która za muzyczne osłodzenie swych herbatek i libacyi wywdzięcza się rozkupieniem biletów. Choć sala świeci pustkami, kasa jednak jest pełną. Gdy koncertantka zyska w głośnym krytyku poplecznika, jeszcze nie może być pewną zwycięztwa, albowiem tego samego wieczora idą z nią w zawody inne siły artystyczne. To też artystki muszą nieraz, tłumiąc podszepty dumy, dawać z rzędu, po pięć, sześć, siedem a nawet osiem koncertów, by wreszcie skaptować coute que coute wybrednych i rozpieszczonych Berlińczyków. Niezawsze rzeczywisty artyzm idzie w parze z powodzeniem; Niemcy są w większym stopniu amatorami, niż znawcami muzyki. By dotrzeć do ich serca, nie należy zaniedbywać błyskotliwości, efektów i wszelkich innych forteli artystycznych. Każdy artysta powinien przedewszystkiem oddać się pod opiekę ruchliwego agenta. Trudno sobie wyobrazić wokalną produkcyę przed publicznością bez tego factotum. Agent umawia się i handluje z pismami, szuka protekcyi u potentatów miejscowych, wynajmuje lokal, podejmuje się sprzedaży biletów, wyszukuje klakę — jednem słowem, używa wszelkich środków dla zapewnienia powodzenia swej protegowanej i... ofierze. Ten duch opiekuńczy, ten stróż-anioł potrąca z dochodów za swą anielską dobroć i liczne usługi pokaźną a nawet lwią część dla siebie.

Nieco zyskowniejszemi są zaproszenia towarzystw muzycznych; 80 z pośród tych korporacyi w Niemczech zaprasza artystki na występy gościnne. Do ostatnich czasów przeciętne honoraryum od debiutu wynosiło 300 marek. Lecz i tu nadprodukcya sił artystycznych pogarsza sytuacyę. Pierwszorzędne gwiazdy świata muzycznego Niemiec zadawalniają się nieraz 150-ma markami! Wyjątek pod tym względem stanowią nieliczne wybrane, które miały szczęście wejść w modę. Od czystego dochodu należy jeszcze odliczyć wynagrodzenie agenta za jego pośrednictwo, koszta podróży, koszta utrzymania damy do towarzystwa w podróży i wreszcie — last not least — toaletę. Mężczyźni mają tę wygodę, że dla swych występów potrzebują specyalnie tylko fraka, który w dodatku nie niszczy się tak prędko, jak suknia.

Lepsze interesy robi śpiewaczka, gdy wynajmuje swój głos dyrektorowi teatru. Musi się

WANDA (*zasępiona*).

Czy cię kocham?... Niewiem! (*wzburzona*) Lecz nie... nigdy! Nigdy niczyją być nie chcę. Nie chcę należeć do żadnych stronnictw, jam sama stronnictwem... Ani do żadnych „kierunków“ myśli — mam własną myśl! Ani do mężczyzny, bom za mało kobietą. I twoją, twoją zwłaszcza Leonie być nie mogę... nie mogę należeć do człowieka, który własnej swobody szuka w zgwałceniu mojej... Chcę być wolną!...

LEON (*namiętnie*).

Nie ty do mnie, lecz ja do ciebie należę! Będziesz wolną!... (*wzburzony*) Więc myślisz, żem tak pospolity, że mając miłość twoją, deptać będę, com ukochał i uwielbił przed dostąpieniem ciebie?...

WANDA.

Kochałeś, depcąc! Tyś jednym z tych, którzy policzkują własne bóstwa, szydzą z tego, co miłują, jak z własnej duszy. Męczą tych, których pragną uszczęśliwić, i zabijają tych, którym dać chcą życie... Co ty wiesz o sobie?

LEON (*wzburzony*).

A czyś ty pewna, że wszystko wiesz o mnie? Skąd ta pewność w tobie, żem gadem, że we mnie nic lepszego nie ma? Tyś sama mówiła kiedyś, żem mięszaniną dobra i złego, że tylko brak wiary w swe wyższe pierwiastki i brak odwagi stania się czemś lepszem, utrzymują mnie na poziomie ogółu. I jam uwierzył, boś ty to mówiła, bo to było prawdą. A dziś, gdy z pomocą twoją chcę zostać tem, czem mnie mieć chciałać kiedyś, ty upokarzasz mnie brakiem ufności i odbierasz wiarę, którą wziąłem od ciebie!

WANDA (*ponuro*).

Nie chcę walczyć. A mybyśmy się wiecznie szarpali oboje. Oboje zbyt jesteśmy niepodlegli, zbyt gorzcy. Nie chcę! Zmęczona jestem!

LEON (*drwiąco*).

Tyle razy chwaliłaś się swą siłą, a dzisiaj mnie się obawiasz...

WANDA (*j. w.*)

Mam dość indywidualnego życia.

LEON (*j. w.*)

Gdzież twoja zasada najbujniejszego życia? Dziś daje ci ono samo sposobność nowych wstrząśnień, a ty je odrzucasz!...

WANDA (*gorzko*).

Nowe!

LEON.

Ha, może dla tego go nie chcesz, że u stóp ci pełza, zamiast być zawiesznem w chmurach, jak spleśniała kiełbasa dla szczurów w śpiżarni.

WANDA (*z ironią*).

Jeżeli chcesz, — brak mi odwagi...

LEON (*wstrząsa jej rękoma*).

Wando! Nie bój się!... Ja raj ci stworzę, ja ci dam szczęście!

WANDA (*smutnie, szyderczo*).

Szczęście!...

LEON (*namiętnie*).

Tak!... Czuję w sobie ogromną potęgę dania tobie i sobie i tylko nam! szczęścia! szczęścia nie w zrozumieniu wszystkich, lecz takiego, które ty swą chmurną duszą odczuć zdołasz i którego odczucie w tobie będzie dla mnie niewymowną rozkoszą... Wando, rzuć niewiarę! Szczęście istnieje dla ciebie... Wando, niech duma twoja nie pozbawia ciebie jedynego może przywiązania, a mnie możności szczęścia i rozwoju... (*błagalnie*) Powiedz, — powiedz Wando!

WANDA (*cicho, energicznie*).

Chcę być wolną!...

LEON (*zrywa się i chwyta kapelusz*).

Więc bądź wolną, potworna egoistko swobody; bądź wolną wśród pustyni, niewolnico swej żądzy niepodległości; marznij i zgrzytaj zębami w lodowej pustce i odosobnieniu! Niechaj kiedyś istotą twoją wstrząsa spóźnione pragnienie miłości; niechaj wtedy dusza twoja i nerwy wiją się w szale tęsknoty za życiem wspólnem, za szczęściem! — niech przedwczesna starość twoją spopieli żądza życia, a pod zwiędłem, spalonem przez żar dręczonych pragnień ciałem, pęka samotne, przez żal za pustem życiem rozrywane serce; żyj swobodnie wśród chłodnych mgławic myśli, wśród ognia muzyki

zgodzić na to, by przez niejakiś czas nie pobierać zupełnie pensyi. Dyrektorowie motywują swoje postępowanie niby tem, że pierwszy czas występów jest szkołą przygotowawczą dla praktyki scenicznej. Ten wygodny dla dyrektorów zwyczaj jest wyzyskiwany na wielką skalę; przeciętny teatr prywatny posiada na dwie płatne śpiewaczki — 4 do 5 wolontaryuszek. Po upływie niejakiegoś czasu artystka zaczyna pobierać skromną pensyę 120—150-ciu marek miesięcznie, skromną, jeżeli zważymy, że rok teatralny liczy w Niemczech 7—8 miesięcy. Teatry nadworne, których Niemcy posiadają co niemiara, nie są hojniejsze... Najwyższa pensya wynosi w tym wypadku 500 marek. Rozumie się, że i na tem polu operuje agent teatralny. Niema artystki, któraby nie wpadła w sieć tego pająka. Agent jest prawie utrzymywany przez swe ofiary, gdyż tantyemę swoją pobiera przez cały czas trwania kontraktu, zawartego za jego pośrednictwem.

Ostatnie miejsce pod względem ekonomicznym zajmuje wśród artystek pianistka. Niestety, artystki tej kategoryi mają zawsze nieco wybujałe pretensye; gdy Niemka potrafi rzępolić na fortepianie „Modlitwę dziewicy" lub „Wanderera" Schuberta, nie dają jej już spać laury Paderewskiego... A tymczasem mniej, niż jakiśkolwiek inny artysta, potrafi pianista w Niemczech przyciągnąć publiczność. Może on wzlecieć wysoko, unosząc się z początku na ogonie jakiegoś śpiewającego ptaka. Są to tak nieliczne wyjątki, że nie mogą iść w rachubę. Po kilku nieudanych próbach, aspirantka daje za wygraną, przestaje marzyć o szybowaniu w wysokich sferach tryumfów artystycznych, schodzi na niziny i zwraca się do mozolnych a niepopłacających lekcyi muzyki. Na tem polu istnieje w Niemczech konkurencya większa, zdaje się niż u nas. Ileż to zgłodniałych i zbiedzonych życiem artystek wyciąga rękę po marną lekcyę za obiad lub 50 fenygów! Nauczycielka muzyki w Berlinie jest chyba najnieszczęśliwszą i najbardziej godną współczucia istotą. Muzyka otwiera jeszcze jedno pole chlebodajne, przynajmniej w ironicznem tego słowa znaczeniu, gdyż pozwala zarabiać tylko na chleb. Mówimy o kompozytorstwie. Niemcy posiadają niewiele kompozytorek, któreby mogły się utrzymywać z twórczości muzycznej. Po większej części są to damy, które szukają rozgłosu i dla osiągnięcia takowego nie szczędzą żadnych wysiłków.

Stosunki na tem polu są ciekawe, że poświęcimy im słów kilka. Dochody może mieć niemiecki kompozytor w dwu wypadkach: gdy jest twórcą z Bożej łaski lub gdy układa muzykę dla ulicy i knajp, gdy zniża się i popularyzuje do takiego stopnia, że utwór jego wygrywa każda katarynka, wyśpiewuje każda pomywaczka i wygwizduje każdy terminator szewski. Twórcy wesołych piosenek i ulotnych walców robią nienajgorsze interesy. Najtrudniejszym jest pierwszy krok. Początkujący kompozytor musi być zadowolony, gdy jego pierwociny wychodzą nakładem znanej firmy lub jego własnym. W razie, jeżeli powodzenie wieńczy jego pracę, dowodzi to, że wpadł na właściwą drogę. Wtedy powinien kroczyć w tym samym kierunku, nie robiąc żadnych zygzaków, odstraszających zwykle publiczność. Utwór, przeznaczony dla śpiewu lub kompozycyi, musi przedewszystkiem znaleźć odpowiedniego wykonawcę, którzyby wyprowadził w świat pierworodne dziecko autora.

Twórcy oper tylko w wyjątkowych wypadkach mogą się pochwalić materyalnem powodzeniem. Partytura, wręczona dyrekcyi teatru, spoczywa tam lata całe, nim autor otrzyma ostateczną odpowiedź. Jeżeli jest biednym, musi sam pisać kopie partytury, dla przedstawienia dyrekcyom innych teatrów — a to wymaga dużo czasu. Po otrzymaniu przychylnej odpowiedzi — co ma przecież miejsce niezbyt często — i po zawarciu kontraktu, partytura znowu idzie do archiwum; zdarzało się kilkakrotnie, że kompozytorowie starzeli się i wędrowali do kraju cieniów, nie doczekawszy się wystawienia swojej sztuki, w którą włożyli tyle pragnień i myśli, tyle cierpień i bezsennych nocy, tyle duszy i życia! Powodzenie opery zależy od tak różnorodnych okoliczności, iż w ostatnich czasach dyrektorowie żądają od kompozytorów zwrotu kosztów wystawionej premiery. Karyera więc muzyczna, jak widzimy, jest w Niemczech wogóle a zwłaszcza dla kobiet nieszczególnie zyskowną.

Co się tyczy sztuki stosowanej, to jest ona uprawianą po większej części przez panie, pochodzące z wyższych sfer. W tym razie nie służy ona za źródło utrzymania, gdyż dostarcza tylko funduszu dla drobnych zbytkownych wydatków, t. zw. „kieszonkowe". Lecz biada pannie domu, gdy zawierzy swym widokom zarobkowym, opierając je na swej znajomości sztuki stosowanej. Dozna ona z pewnością zawodu, gdyż podaż na tem polu jest tak wielką, iż praca opłaca się wyłącznie tym tylko osobom, które z innych źródeł pokrywają swe pierwszorzędne potrzeby.

Zarówno sztuka, jak nauka nie daje pewnej opory kobiecie, gdy chce o własnych siłach wywalczyć sobie byt.

Najbardziej przepełnionym jest zawód nauczycielski. Gdy o uszy „höhere Tochter" odbiją się kilka razy piękne słowa o emancypacyi kobiet i o konieczności zabezpieczenia siebie znajomością jakiegoś fachu, postanawia zdać egzamin nauczycielski, by w ten sposób dać olśniewający dowód swej samodzielności. Bogaci zaś rodzice dają swe błogosławieństwo, uważając ten zawód za „standesgemäss", za nieplamiący rodziny. Aspirantki wstępują pomiędzy 16-tym a 20-tym rokiem życia do seminaryum nauczycielskiego. Takich zakładów państwowych w Prusach jest dla mężczyzn 100, żeńskich zaś tylko 7: 3 ewangielickie, 2 katolickie i 2 mieszane. Osoby, kończące dane zakłady lub kształcące się prywatnie, składają egzamin przed komisyą państwową. Nauczycielka ludowa w Prusach otrzymuje 1000 do 1200 marek rocznie. Istnieje wprawdzie pensya roczna, wynosząca 2400 marek, lecz na 8450 nauczycielek pruskich jest ona udziałem zaledwie dziewięciu! Ponieważ dostęp do szkół państwowych jest utrudniony, a w wielu wypadkach wprost niemożliwy, przeto nieprzejrzana moc kandydatek zgłasza się o posady do szkół prywatnych. Pensya tu oczywiście kurczy się do strasznie drobnych rozmiarów, do jakichś 400 marek rocznie, co równa się naszym 180-ciu rublom. Z takich środków wyżywić się w mieście niesposób.

W r. 1873 i 1874 koleje i biura telegraficzne zaczęły przyjmować kobiety. Wkrótce cofnięto wydane w tej mierze rozporządzenie, lecz znajdujące się już na służbie pozostawiono, podnosząc im w r. 1887 pensyę do 1500 mr. rocznie. Od kandydatki na posadę telegrafistki wymagają świadectwa z ukończenia szkoły telegraficznej, istniejącej w Berlinie od r. 1859. Urzędy pocztowe w ostatnich latach niedopuszczają kobiet do pełnienia w nich służby. Za to otworzyły się liczne wakanse telefonistek, gdyż rząd, jak wiadomo, posady tego rodzaju chętniej powierza kobietom, niż mężczyznom, praktyka bowiem wykazała, iż głos kobiecy brzmi w rozmowie przez telefon wyraźniej. Doświadczenie dowiodło niestety jednocześnie, że służba przy telefonie rozstraja silniej system nerwowy kobiecy, wskutek czego obecnie telefonistka jednego dnia jest na swym posterunku przed obiadem, drugiego dnia po obiedzie. Pensya jest i tu bardzo skąpą; przeciętnie wynosi dziennie 2,25 do 3 marek.

Co się tyczy zawodów liberalnych, to są one dotychczas w Niemczech zabarykadowane dla kobiet pewnemi przeszkodami. Wprawdzie lekarki (które bez wyjątku skończyły studya w Szwajcaryi) są tolerowane w Niemczech, lecz nie mają prawa przepisywania recepty i sporządzania aktu zejścia. Kiedy wreszcie zostanie kobietom udzielone prawo praktyki — niewiadomo, lecz w każdym razie stare prawa, krę-

---

twej bez słuchacza; ty dźwiękom kiedyś zazdrościć będziesz siły i ciepła; ty wtedy przeklniesz twórczość swą i działalność, przekliniesz te potworne pasożyty twej duszy za zabicie człowieka, kobiety w tobie... Ha! ty człowiekiem być nie chcesz?... Żyć po ludzku jesteś zbyt dumną?... Przyjdzie chwila, że konać będziesz z rozpaczy, że nikt o tobie jako o człowieku nie myśli!...

(*Wanda blada, nieruchomo patrzy na niego*).

LEON (*gwałtownie, przysuwając się do niej*).

Więc nie, nie, nie?

WANDA (*blada, dobitnie*).

Nie.

LEON (*otwiera drzwi, wychodzi — wraca, chce coś powiedzieć, lecz wstrzymuje się i przez zęby*)

Potworze! (*wybiega*).

WANDA (*długo patrzy na drzwi otwarte, idzie i zamyka je na klucz, oddychając silnie*).

Skończone!... (*chodzi po pokoju z bólem w twarzy; staje nagle*). A dziś zgromadzenie... (*zaczyna się ubierać*) Mówił, że mnie śledzą... (*szyderczo*) Niech śledzą! Wszystkie papiery oddane... a jeżeli mnie wezmą... pójdę tam, gdzie pustka i chłód... gdzie zginęło tylu... (*zgrzytając zębami*) Wolna! (*zapalczywie*) I tam będę wolna... I ztamtąd się uwolnię!... (*staje zadumana, ubrana do wyjścia*) A jednak... (*stanowczo*) Nie, to było niemożebne! Musiałam go stracić!...

(*gwałtowne stukanie*).

Kto tam?

(*Głos żandarma*).

W imię prawa!

WANDA.

Bezprawia!... (*otwiera drzwi*) Kogoście zgubili?

ŻANDARM.

Mamy rozkaz aresztowania pani.

WANDA (*szyderczo*).

Mnie? proszę! I za co? Czym komu co skradła, kogo zabiła?...

ŻANDARM.

Mamy rozkaz.

WANDA.

Ba! Słuchać trzeba! I gdzie mnie panowie macie zaprowadzić? przed majestat cyrkułu? A czy tam znajdę fortepian?

ŻANDARM.

Chleb i wodę.

WANDA.

To będę na zębach wygrywać musiała swe kompozycye...

ŻANDARM.

Wy byli ubrani do wyjścia. Gdzie wy szli?...

WANDA.

Chciałam być gotową na drogę do sprawiedliwości.

ŻANDARM.

A ten pan, który od pani wyszedł teraz, co za jeden?

WANDA.

Jaki pan? Jesteś pan mym pierwszym gościem dzisiaj.

ŻANDARM.

Nie ukrywajcie, bo my widzieli. To gruba ptica.

WANDA (*do siebie*).

Więc i on... Leonie, na co tyle kłamstwa! (*do żandarma*) To pan lepiej wiesz odemnie; zapewne kolega cywilny?

ŻANDARM.

A ta szkółka ukryta... Dzieci wyśpiewali wszystko, gdy im się dało w skórę...

WANDA.

Ba, uczyłam je kochać cara.

ŻANDARM.

To wy nie wiedzieli, że to nie wolno?

WANDA.

Ktoby to wiedzieć mógł! No, no, stupajko! w drogę! (*otwiera drzwi, wychodzi, rzucając gorzkie*) Wolni!

(*Wychodzą*).

KONIEC.

Lwów 1894 r.

pujące wolność kobiety, dobiegają już kresu... Sądząc z tego, że uniwersytety niemieckie otworzyły dla kobiet swe podwoje, dotychczas szczelnie przymknięte, należy przypuścić, że i rząd zrobi wkrótce ustępstwa nowym prądom emancypacyjnym, nurtującym niemieckie społeczeństwo i dążącym do zniesienia praw wyjątkowych dla kobiet. *H.*

Sylwetki poetów czeskich.

I.

Świętopełk Czech.

Świętopełk Czech uprawia już pole poezyi lat 20 z góry. Urodzony w roku 1846 wydaje pierwszy zbiorek „Baśnie“ w r. 1874. Fantazya morska „Burza“, obrazek historyczny „Adamici“ i biblijny „Anioł“ zwróciły uwagę ogólną. W ostatnim Czech przedstawia upadek anioła, stworzonego przez Boga z jego łzy ku pociesze ludziom; anioł zapłonął ogniem miłości ku ziemi córze i za karę musi istnieć między ziemią i niebem, dotykać rzeczywistości i marzyć o ideale. W „Adamitach“ maluje autor życie rozpustnej sekty, powstałej w XIII wieku, rozpowszechnionej głównie we Francyi, a szerzącej się w Czechach w XV stuleciu. Poeta odtwarza tu różnej siły namiętności. Postacie wychodzą żywe, korzystają ze swobody w postępowaniu, głoszą kult ciała i rozkoszy zmysłowej, nie uznają Boga, jeno siebie i życie. Wśród zgiełku i używania, wśród tych par nagich, nie połączonych węzłami kościoła znajduje się jedna postać męzka, dążąca do prawdy, która też w końcu odrzuca zasady sekty — to Adam. Ma on zginąć za to na stosie. Tymczasem Żyżka, wódz Taborytów rozbija obóz adamicki. Cielesność ulega moralnym Taborytów siłom. Ale Adam nie jest zrozumiany, bo, gdy na zapytanie „w kogo wierzy“ odpowiada „szukam“, Taboryci palą go niemiłosiernie, jako istotę gorszą jeszcze od Adamitów.

Adamici, to najognistszy i najjędrniejszy wśród utworów Czecha, przewyższający nawet znacznie cenioną w Czechach „Europę“, w której poeta skazuje naszą przeżytą i przenihilizowaną część świata na zgubę na korzyść młodej, silnej Słowiańszczyzny. Jesteśmy na okręcie, odwożącym z Europy wygnańców, przerabiaczy społeczeństw. Ci powstają na morzu i broczące we krwi zdobywają ster okrętu. Nie dobili jednak do portu. Okręt pozbawiony umiejętnych kierowników, oddany w ręce żywiołu kłótliwego, nie może przetrwać burzy, jaka się nad nim zerwała — i tonie. A wschód rozsiewa swe blaski. Wprawdzie idea przeprowadzona chroma czasem na sile wyrazu, za to wiązanka obrazów morskich nęci świeżością i prawdą.

Czech od początku wystąpienia okazał pociąg do eposu. Najlepszym tego wyrazem jest „Wacław z Michałowic“. Tu poeta osiągnął największy spokój w malowaniu, nie zatracając dawnej jasności i siły plastyki. Utwór ten, to cenny kamień w zbiorach pieśniarza.

Wacław, syn wolnomyślnego patryoty czeskiego, ginącego śmiercią skazańców, dostaje się przypadkiem, mając ledwie lat parę, w ręce Jezuitów, którzy go wychowują na posłuszne kościoła narzędzie, używając systemu okłamywania i szpiegostwa. Kim jest Wacław dowiadujemy się z ust przodownika jezuickiego podczas wspaniałej uczty w refektarzu.

Wacław ślepo oddany jest kościołowi, bo źródłem wiedzy są dlań słowa przełożonych. Biada! jeśli usłyszy idee nowe. Natura to namiętna, ognista, milcząca i ponura, ale głęboka. I oto Wacław usłyszał prawdę z ust spotkanego sługi ojcowskiego, od którego otrzymał nadto pozostawioną mu przez ojca książkę. Za tydzień spotkają się i umkną, jeżeli księga wznieci bunt w duszy Wacława. Ale w klasztorze zdradza go przyjaciel Konrad, wyłudziwszy zeń przyczynę zadumy. Niestety, za późno, Wacław przeczytał już pamiątkę ojcowską, pojął jądro walki religijnej i społecznej, odczuł głęboko śmierć ojca i teraz więziony i morzony rzuca mnichom przekleństwo i pogardę w oczy. Sceny więzienne, kwestye omawiane między Wacławem i mnichami, są silnie dramatyczne, a Czech oddał z potęgą prawdy zarówno oburzenie i zapał młodzieńca, jak przebiegłość i wysuszenie serca mniszego. Bohaterowi udaje się wydobyć tajnem wyjściem na wewnętrzną galeryę kościoła, zkąd podburza lud do walki. Wtem dobiega go Konrad, następuje borykanie, zgubne dla obu, bo i katolik-jezuita Konrad i wiary czeskiej Wacław spadają z góry na posadzkę kościelną, gdzie ponoszą śmierć.

Milutkim, barwnym, tchnącym miłością do życia wiejskiego jest obrazek „W cieniu lipy“, pod którą gwarzą wieczorem rolnik, młynarz, krawiec, stary wojak i kilku innych o przygodach młodości. Są tu dykteryjki, układające usta do śmiechu, są i takie, co zrodzą łzę, a wszystkie opowiedziane mową właściwą.

„Czerkies“, zobrazowanie krańcowego patryotyzmu, „Zimna noc“, pełna nadziei w Słowiańszczyznę „Żyżka“ i dwa obrazki satyryczne: „Hanuman“, gdzie poeta przedstawia reformy śród rodu małpiego, wyśmiewając naśladownictwo i czerpanie z obczyzny, satyra dobrze poczęta, lecz na końcu w myśli przewodniej powikłana, — i zwłaszcza wielce udatne „Petřkliče“ (Pierwiosnki), historya wypadków, spowodowanych złotemi raju kluczami, upuszczonemi przez Piotra na ziemię — uzupełniają wizerunek literacki Czecha z pierwszego szczęśliwego okresu jego działalności. Okres to więcej fantazyjny, kosmopolityczny, w przeciwieństwie do następnego, kiedy poeta czerpie materyał z rzeczywistości, z dnia dzisiejszego, podając narodowi swe ideały społeczno-patryotyczne i ośmieszając jego usterki.

Jako satyryk był Czech poprzednikiem Machara, jeno że ten głębiej sięgnął i radykalniej na lutni wyśpiewał swój śmiech bolesny, a pomimo to nie wykrzywił poezyi. Czech zaś w drugim okresie zdobywa się najczęściej na rymowaną prozę, co mu nie przeszkadza być dziś najpopularniejszym poetą, trafił bowiem w serce ludu, uderzył w strunę narodową i społeczną.

W „Kowalu Leszetyńskim“ mamy walkę z Niemcem o grunt i ostateczne zwycięztwo kowala. Opowieść zabroniona w Czechach, pełna dźwięków ludowych, nie dorównywa dawnym utworom. „Nowe pieśni“ i „Ranne pieśni“ rzucają, prawda, garstkę myśli dość zdrowych, nie zawsze przecież jasnych i silnych; rozbrzmiewają one czasem pobudką patryotyczną, zresztą dość powszednią, ale zwłaszcza w „Nowych“ nie czuć woni poezyi. Największym rozgłosem cieszą się „Pieśni niewolnika“ (21 wydań). Lecz i tu opuściła poetę przejrzystość. Najładniejsze są te miejsca, gdzie Czech maluje naturę, którą umie odtwarzać, i ustępy miłosne zbiegłego „glebae adscripti“.

Poeta wydał nadto utwory „Dagmas“ i „Hanię“, nieprawe dziecię „Europy“, rozstrzygające kwestyę słowiańską za pomocą żeniaczki olbrzymiego Rosyanina z delikatną Polką, oraz „Prawdę“, gdzie autor odbywa podróż z nagą prawdą, ukazującą mu wszędzie zawoalowaną nieprawdę. Są to jednak niejako skazy na pomniku ukutym przez poetę pierwszemi pieśniami.

Myślą przewodnią utworów Czecha jest przyszłość zgodnej Słowiańszczyzny, miłość do kraju, rolnictwa i wiara w Czechy. Język piękny, barwny, gdzieniegdzie silny. Osnowa kompozycyi zazwyczaj bardzo prosta. Czech z prawdziwą lubością tylko maluje, używając mowy pełnej świeżego i wonnego kwiecia. Materyał w jego pieśniach niezbyt obfity, za to zazwyczaj starannie opracowany i przemyślany. Więcej to epik niż liryk, przytem szczery i

KAZIMIERZ TETMAJER.

Rzeźbiarz Merten.

(Kontur do noweli.)

(Ciąg dalszy.)

— A cóż jest — tam?...

— Tam?... Czy ja wiem... Jabym chciał, żeby tam nie było nic i jestem prawie pewien, że tam niema nic. A jednak...

— A jednak nie jesteś i tego pewny, czy ci zginąć ktoś pozwala, albo nie pozwala, czy się co miesza do ciebie, albo nie, prawda?

I dla tego jest mi jeszcze gorzej, bo gdyby tam nie było nic — ale, jeżeli tam jest coś, jeżeli tam jest ten Bóg, jeżeli on patrzy na nasz dom, na mego ojca i na moją matkę i na mnie samego wreszcie... Nie. Krążel, tam może być tylko ślepa i głucha konieczność i tylko ona tam jest. Trzeba się poddać, albo wyrwać.

— Wyrwać? Łatwo się to mówi.

— Tchórz tylko nie może się zdobyć na taki krok, powtarzam ci, tchórz. Głupstwo jest mówić, że ktoś z tchórzostwa przed życiem w łeb sobie strzela. Życie czasem nie da się znieść, ale najgorsze nie przeraża tak, jak śmierć. Co mnie tu spotkać może, wiem, mogę nie czuć w sobie sił, mogę nie chcieć walczyć, ale tam — tam, gdzie nie wiem nic...

— Ej, co my tam o tem wygadamy — przerwał Krążel — nie tacy gadali, a nie wygadali nic. Słuchaj, Julek, robisz ty biust tego Gorzyckiego?

— Jakże mam robić? To już prawdziwy pech! Gorzycki chce pozować tylko do głowy, a resztę mam zrobić z modelu i to nietylko w glinie, ale nawet w marmurze, nawet głowę w marmurze mam obciosać, a on potem tylko do podobieństwa i wykończenia chce pozować na gotowem popiersiu.

— Dziki cymbał!

— Pewnie, że dziki pomysł, ale to taki dla mnie pomysł. Mam mu w marmurze wykuć popiersie, a ja nietylko na marmur, ale na glinę i na modela nie mam.

— Nie słyszałem o takim obstalunku.

— I ja nie. To jak na złość.

— A żebyś mu powiedział.

— Niema go tu, jest we Francyi, czy gdzieśindziej jeszcze. Przyjedzie na tydzień może i chce przez ten czas dać się sportretować.

— A żebyś do niego napisał?

— Czy ja wiem, gdzie on jest? Zresztą myślałem, że będę miał pieniądze, że będę miał za co skończyć moją „Wizyę“ na konkurs. Co miałem, musiałem posłać do domu. Dobrze, że tam choć o konkursie nie wiedzą.

— To już prawdziwy i osobliwy pech.

— Taki mój pech. Wiesz, mój los, to jest taki. Gdybym był na pustyni i umierał z pragnienia, tobym niechybnie trafił na całe morze, ale gnojówki. Pićbym miał co, do zbytku, ale takiej wody, żeby jej pić nie można było. I ta ironia losu, to szyderstwo życia, to jest gorsze, niż samo złe. To doprowadza po prostu do obłędu, do szaleństwa, wściekłości i rozpaczy. Masz uczucie, jakby ci kto rękę w śruby wykręcał i uśmiechał się do ciebie równocześnie; wolałbyś, żeby ci plunął w oczy i pałką rozbił czaszkę. Czy nie?

— Do widzenia. Psu na budę takie życie. Może chcesz, wezmę drugą szóstkę i przyniosę ci co?

— Nie, dziękuję. Jak chcesz, to weź dla siebie.

— Chciałbym być u ciebie ekonomem i takby być powinno. Pojechalibyśmy teraz w pole, ty byś się woził na koźle, ja za tobą na siedzeniu z furmanem. Siano by nam pachniało, dziewki by się czerwieniły gdzie przy burakach, a od boru ciągnie szum pachnący, a nad nami jaskółki fiut! fiut! Twoją żonę w białym dworze w rękę bym na werandzie całował. A czyjeż to takie zboże, takie konie, taki dwór? pytaliby ludzie. A pana dziedzica, Juliusza Jastrzębca Mertena dwór. A któż mu

poważny, choć niezawsze pewny siebie, — częstokroć nie dopowiada.

Św. Czech był przez lat 3 współredaktorem pisma „Lumir“, a od r. 1877 wydaje miesięcznik „Kwiaty“. Opisał kilka podróży, wydał 4 tomy powiastek, kilka satyrycznych wycieczek pana Broniczka na księżyc, do XV stulecia, i do Czech dzisiejszych, gdzie nader płynnie językiem niepozbawionym harmonii i ostrości wytyka braki w urządzeniu społecznem, wady Czechów, nieporządki miejskie i falowanie przekonań politycznych stosownie do okoliczności. Jako satyryk znany jest jeszcze z „Gadki o ptaku Wielikanu Wielikanowiczu“ i z „Szotka“ (Psonika). Napisał też Czech romans historyczny „Kandydat nieśmiertelności“.

Z. Makowiecki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

Niepodobna sobie wyobrazić bardziej rażącego kontrastu, jak stosunek rosyjskiego i polskiego chłopa do ich religii i jej przedstawicieli. Prawowierność i nabożeństwo pierwszego nie przeszkadza mu uważać popa za coś podrzędnego, figurę w części komiczną, w części godną lekceważenia. Za zły prognostyk uważane jest u nich spotkanie popa na drodze; ten nie różni się od prostego chłopa prawie wcale wykształceniem, a że ma więcej od niego pieniędzy, więc posiada możność częstszego upijania się. Czego też sobie bynajmniej nie żałuje. Życie takiego popa na wsi jest nieustannem pijaństwem, wytrzeźwia się on rzadko i chyba na bardzo krótko.

Polski chłop przeciwnie, ma wiele szacunku, nieledwie cześć dla swych księży. Władza katolickiego duchowieństwa była właściwie jedyną, która się utrzymała w ciągu wieków i była niezaprzeczoną i nienaruszoną w burzliwej Polsce. Księża mają wpływ na lud, jak to się niejednokrotnie przy spowiedziach okazuje, a nierzadkiemi są przez ich pośrednictwo restytucye rzeczy lub pieniędzy ukradzionych. Chłop skruszony i żałujący swej winy, nie odnosi ich sam, lecz powierza księdzu, by ten je zwrócił poszkodowanemu.

Pobożność rosyjskiego chłopa nie wyklucza pewnej przebiegłości i wykrętów z jego strony, nawet w stosunku do świętych. Opowiadają anegdotę, że chłop z koniem i wozem wjechawszy na niemocny lód, zagrożony utonięciem, wzywał pomocy św. Mikołaja, obiecując mu wartość konia w ofierze, gdy cało przedostanie się na drugą stronę rzeki. Stało się tak i odtąd cały wysiłek chłopa zwrócony był ku temu, jakby się urządzić, by nie łamiąc danego świętemu słowa, uniknąć tak znacznej ofiary. Koń był wart ze 100 rubli. Nagle błysnęła mu myśl szczęśliwa, pojechał więc na targ z koniem, który zaraz znalazł amatora.

— Ile chcesz za tego konia? — spytano go.

— Pięć rubli.

— To żarty zapewne, ale ma się rozumieć, że ci je dam chętnie.

— Tak, ale ja postanowiłem sobie nie sprzedać go inaczej, jak razem z tą kurą, którą cenię 95 rubli — odpowiedział.

Targ przyszedł do skutku. Św. Mikołaj dostał 5 rubli. Stosunek tutejszego włościanina do jego świętych jest bardziej naiwnym; niema tam zapału i fanatyzmu włocha, lecz chłop polski zdolnym jest zatopić się przez długie chwile w pokornej modlitwie przed nimi. Po nabożeństwie, jak wyżej powiedziałem, odbył się na plebanii obiad dla przybyłych z dalszych stron księży, okolicznych obywateli i *honoratiores*. Miejscowy ksiądz, biorący 150 rubli pensyi, do której dodawszy wszystkie możliwe dochody nie osiąga sumy wyższej nad 600 do 700 rs., nie jest w stanie urządzać wystawnych przyjęć; zwyczajem więc miejscowym jest, że w takich wypadkach dwór, poczynając od jadła, i napojów, a kończąc na zastawie stołowej, dostarcza wszystkiego. Połączone to było w danym razie z trochą kłopotu, z powodu, iż dzień przyjęcia wypadł w piątek, a zatem nie można było użyć mięsa. Zabiegliwa jednak nasza gosposia zaradziła wszystkiemu; przywieziono z Warszawy kilka gatunków ryb i od rana w całym dworze wrzała robota i przygotowania. Kucharz tutejszy, który stał się mistrzem swego kunsztu w Paryżu i jest zarazem piekarzem i cukiernikiem, przeszedł samego siebie: olbrzymie szczupaki i jesiotry leżały w całości udekorowane, na niezwykłej wielkości półmiskach, wina wynoszono z piwnicy a cała służba dworska, obciążona koszami i przeróżnemi naczyniami krążyła nieustannie pomiędzy dworem a plebanią oddaloną od niego o jakie tysiąc kroków. Nareszcie trzynastu księży i wszyscy zaproszeni zasiedli do stołu w dwóch obszernych pokojach, by godnie uczcić dzień postu. Motto kazania było, że prawdziwy chrześcianin nie bywa posępnym lub podejrzliwym, lecz pogodnym i wesołym i na ten to temat poczciwi księża wypowiedzieli kilka pełnych humoru mówek przy stole. Trzeba im jednak przyznać, że więcej jedli niż mówili, a pili jeszcze lepiej. Butelki Bordeaux, Bourgogne i białego węgrzyna wypróżniały się tak szybko, iż zaszła kilkakrotna potrzeba posłania do dworskiej piwnicy po większy ich zapas. Pili, trzymając się tradycyi narodowej, jak dobrzy Polacy, ale nie wymknęło się im ani słówko niepotrzebne, młodzi księża trzymali się skromnie ze względu na obecność swych zwierzchników, ci zaś dbali o utrzymanie powagi. Bawił mię mój przyjaciel Henryk, prezydujący u końca stołu, przy tej duchownej uroczystości przyjmującej uprzejmie toasty, które wznoszono na jego cześć, jako gospodarza i amfitryona, protektora kościoła, dobrodzieja okolicznego duchowieństwa, stojącego na straży religii itd. itd. Czem to się stać nie można na tym świecie, gdy się ma rozum, jest hojnym i bogatym?... Prawdopodobnie wielu z zebranych tam księży nie dużo więcej miało wiary od niego, zdolniejsi z nich prawie wszyscy kończyli nauki w Rzymie. Wiara u pospólstwa jest jednak niezachwianą, rzeczy najbardziej sprzeczne ze zwykłą logiką, rozsądkiem są dlań tylko jednym więcej dowodem opieki opatrzności, oto wydatny tego przykład w bajce ludowej opowiedzianej w tak ślicznych słowach przez Henryka Sienkiewicza. Szedł sobie raz chłop ze świdrem i siekierą do lasu i spotkał starą babę, a że chłop był mądry, więc poznał zaraz śmierć i myślał sobie, jakby jej się pozbyć. Zaczął tedy wiercić dziurę w starej wierzbie i do niej zaglądał.

— Co chcesz tam zobaczyć? — pyta go śmierć.

— Kiedy chcesz wiedzieć, to sama sobie zajrzyj.

Śmierć zajrzała do dziury, lecz nic nie zobaczyła, a chłop ociosał tymczasem bukowy kołek.

— Nie widzę nic — powiada.

— Wleź całkiem, to zobaczysz.

Zaledwie śmierć wlazła do dziury, chłop zatknął ją kołkiem, przybił go siekierą i poszedł. Rok po roku szedł, chłop sobie żył i żył, a że wszędzie naokół ludziska przestali wymierać, więc namnożyło się tego jak mrowia.

---

do tego tak pilnuje? A jego ekonom, Jan Krążel z Palówki. No, nie mogłoby tak być, co?

Ale Merten odwrócił twarz i nic nie odpowiadał; więc Krążel zrozumiał, że chce być sam i wyszedł, mrucząc:

— Psiakrew, pański syn, na taką dolę...

— Tak, szczęście jest — myślał Merten, rzuciwszy się na wznak na kanapę — szczęście jest. I dla czego on go mieć nie może? Czy ma mniej do niego praw, niż inni? Dla czego ta wieczna, straszna ironia życia? Dla czego to przekleństwo przeznaczenia po nad nim? Dla czego na każdym kroku od tylu lat jedno i jedno zawsze tylko nieszczęście? Dla czego mu się nie wiedzie, mimo że ma większy może, niż inni talent? Dla czego los go postawił w warunkach, które mu po prostu ręce wiążą? Wiecznie, od pierwszej chwili prawie, w której zaczął się kształcić, niedostatek, brak, przygnębienie domowe, nie pozwalały mu ani żyć tak, jak innym, ani tak jak innym rozwijać się normalnie. Nigdzie nie był, niczego nie użył, nic nie widział. Nie miał dotąd jednego dnia, o którym mógłby był powiedzieć: miałem dobry dzień, ani jednego grosza, który mógłby był swobodnie wydać.

A ta ciągła walka o każdy kęs chleba, o każdą kroplę wody! Ciągłe stykanie się i ścieranie z ludźmi, których upodliła nędza, lub którzy od razu podli na świat przyszli. Wszędzie, na każdym kroku brutalność, zawiść, złość, fałsz, głupota i nikczemność ludzka; wszędzie, na każdym kroku musieć żyć w tym świecie tak obcym mu, tak wstrętnym, z którymby go nie jedno życie, ale wieki całe nie zdołały pogodzić, połączyć... Okropny los, okropny dla natury takiej, jak jego, bujnej, skrzydlatej, pełnej fantazyi i namiętnych pragnień, chciwej wrażeń i upojeń, rozkołysanej przez sny i wizye, ceniącej nadewszystko swoją dumę, swoją niezależność... Okropny los, okropne życie!...

Dawniej zdawało mu się czasem, że to nieprawda, że to sen tylko: zbudzi się, otrząśnie, albo dzieckiem w swojej rodzinnej, nigdy nieodżałowanej wsi słonecznej, albo człowiekiem w jakimś zupełnie innym świecie. Czasem zdawało mu się, że już struna do ostatnich granic wyprężona, że już się musi ten straszny sen skończyć, i zamykał oczy, aby je otworzyć za chwilę z uśmiechem, do innego promiennego życia...

Ale to nie był sen.

Więc długie lata wrzał w nim bunt, walczył, miotał się, szarpał, miał nadzieję zwycięztwa... Zawiodła.

Potem przyszła rezygnacya, obumarłość jakaś, apatya, nieme, ale śmiertelnie bolesne: niech się co chce dzieje. I jak dawniej, kiedy nowe nieszczęście na jego rodzinę lub na niego spadło, dziwił się, że jeszcze gorzej być może, niż dotąd było: tak teraz dziwił się tylko, że nie jest jeszcze tak źle, żeby już gorzej być nie mogło, żeby już po prostu po za tem złem była otchłań... Boć przecież dotąd jeszcze ani na pół sparaliżowany ojciec jego, ani matka znękana i zgnębiona nieludzko, nie byli ani chwili głodni, ani chwili bez dachu nad głową. Ale teraz taka chwila już chyba nadeszła.

Wszelkie środki były wyczerpane. On sam od tygodnia nic ciepłego w ustach nie miał, oni za parę dni nie będą mieli za co chleba nawet kupić. Już ostatnia musiała być potrzeba, kiedy matka sprzedała żydówce ten złoty krzyżyk; wiedział, że byłaby wolała pół życia dać, niż to utracić...

Wtedy, kiedy go kupił, zdawało się, że będzie dobrze w życiu...

Wziął list ojca w rękę: Każde słowo, każdy wyrzut falę krwi rzucał mu do piersi. Lękał się, że padnie rażony apopleksyą, bo te wyrzuty wszystkie były niesprawiedliwe naprawdę, choć się pozornie słusznemi wydać mogły. To nie był winien on, to było winne nieszczęście. A zresztą on nie miał już żadnej wiary, żadnej nadziei. Trzeba było skończyć i moment ostateczny już nadszedł. Miał do wyboru tylko dwie drogi: albo rodzice, albo on. Sam dla siebie zarobić potrafi, a jeżeli nie będzie prawie całych swych dochodów obracał na utrzymanie domu, w krótkim czasie może stanąć dobrze. Jedna porządna praca — a czuł się do niej na siłach — jest progiem do lepszej doli. To

Chłop się zestarzał, bieda poczęła go gnieść, pracować już nie mógł i naprzykrzyło mu się w końcu żyć; poszedł więc do wierzby i odetknął ją, by śmierć sobie znów na świat wyleciała. Jak też wyleciała, to tyle ludzi pozmiatała, że nie było ich gdzie chować. Przyszła wziąć jedną biedną wdowę, matkę siedmiorga dzieci, a dzieci ją proszą i błagają: „Nie zabieraj, nie zabieraj nam matki“. Zlitowała się śmierć nad dziećmi, idzie do Pana Boga i powiada: „Panie Boże, jakże mam tę matkę brać, kiedy dzieci tak o nią proszą i lamentują, aż mię litość bierze“. A pan Bóg powiada: „To nie moja rzecz, idź do Pana Jezusa, on ci powie jak ma być“. Przychodzi tedy śmierć do Pana Jezusa. „Panie Jezu, jakże mam brać tę wdowę, kiedy dzieci za nią proszą i tak lamentują, aż mnie litość wzięła“. A Jezus prask śmierć w pysk i powiada: „Leć na dno morza i przynieś mi ztamtąd mały okrągły kamyczek“. Skoczyła śmierć do morza, na samiusieńkie dno i przyniosła twardy, okrągły jak bochen chleba kamyczek. A Pan Jezus do niej: „A teraz gryź“. Gryzie śmierć, gryzie, aż ją zęby bolą, ale zgryzła i patrzy aż tu w środku siedzi maleńki robaczek. A Pan Jezus znów śmierć w pysk: „A widzisz, powiada, to ja i o tym malutkim robaczku na dnie morza wiem i pamiętam, a, ty myślisz, że ja o sierotach zapomnę. Leć zaraz i bierz matkę!“ — Taka to niezachwiana wiara w rozum i sprawiedliwość wyroków opatrzności panuje u ludu w tym kraju, w warunkach, w których właściwie przyznać trzeba, iż niełatwo jest dojrzeć rękę opatrzności kierującą jego losami.

IV.

Cisza tu tak wielka, jaką tylko o wiele mil od ruchu miastowego i kolejowego znaleść można; w nocy przerywa ją jedynie trąbka stróża nocnego, odzywająca się co kwadrans dla oznajmienia, iż wszystko w porządku i nadzór nie ustaje, ale gdy usnę, nie słyszę jej wcale, bo śpi się w tej ciszy wyśmienicie. Z rana wchodzi Władysław przynosząc ubranie, otwiera okiennice i okna w moim pokoju. Jest to służący, który został przeznaczonym do moich usług, z pochodzenia Litwin, liczący lat około trzydziestu, zręczny, zwinny, silny i niezwykle inteligentny. Mówi bardzo dobrze po francuzku i po włosku, z powodu, iż z poprzednim swym panem spędził pięć lat we Florencyi, dwa zaś był w Paryżu z obecnym, wyraża się w obu tych językach poprawnie, lecz czasem oryginalnie i dość malowniczo. Mówi np.: „I l m o u c h e f o r t a u j o u r d' h u i“, co ma oznaczać, iż dużo jest much. Zna język polski, jak swój rodowity, rozumie po litewsku i rosyjsku, w porównaniu z nim ja jestem chyba nieukiem. Zapewne, iż umiem po niemiecku, ale on za to goli znakomicie; znam trochę język angielski, lecz z jego zręcznością i siłą porównywać się nie mogę. Ma on mnóstwo fachów do wyboru, mógłby być w Paryżu tłomaczem, fryzyerem lub garsonem, wszystkiem zależnie od okoliczności. Gdyby mu odjąć tylko trochę polskiej dobroduszności, byłby to istny Figaro.

Widok prześlicznych trawników i rozłożystych drzew, gdy się z rana oczy otworzy, pieści duszę i odświeża zmysły. Czem bardziej się jest skazanym na życie w mieście, tem więcej odczuwa się zbliżenie z naturą. Gdy jadę wśród pól i z daleka po silnym, pełnym słodyczy zapachu poznaję, iż zbliżamy się do łanu kwitnącej koniczyny, wstrzymuję konie, by nie utracić ani odrobiny tej rozkosznej woni. Każde znalezione piórko przedstawia coś zajmującego, gdy się nie przywykło do chodzenia wciąż po polach, a spotykanym roślinom przygląda się z zainteresowaniem dziecka na wakacyach, zbierającego zielniki. Z rana chodzę sam, gdyż dla innych jest za gorąco, ku wieczorowi zaś wychodzimy wszyscy razem, kierując się codzień w inną stronę. Zawsze to samo widowisko — zachód słońca, zapadający zwolna mrok, ukazywanie się czerwonej tarczy księżyca na widnokręgu, stopniowa zmiana tej barwy na jaśniejąco żółtą — lecz równie zajmującą i nową. Nastrój też codzień ten sam, tylko rozmowy inne, zależnie od tego, jaką towarzyszkę ma się przy swoim boku. Wczoraj nie było najlżejszego wietrzyku, zmrok zapadł dość szybko, a księżyc w pełni, siejący czarodziejskie blaski dokoła, miał nieledwie hypnotyzujące własności; młoda panienka idąca obok mnie mówiła zwolna, jakby do siebie, wiersz, którego pierwsza strofa brzmiała tak: J'aime la nuit, La nuit des rêves, Aux heures brèves, Quand l'astre luit. Sur champs et greves, J'aime la nuit. Quand la nuit dort Dans le silence, La lune lance Sa clarté d'or, Qui se balance, Quand la nuit dort.

W dziwny sposób kojarzyły się i zlewały te słowa z nastrojem naszym w ciszy tej nocy letniej.

Tak upływają nam dnie jednostajnie, dnie, które się składają z rozmów i obcowania z naturą, o których się zapomina, czy się wtorkiem czy piątkiem nazywają — przechodzą tak tygodnie, w których wyodrębnia się tylko niedziela, z powodu, iż około południa donośny dźwięk dzwonów zwołuje wiernych do kościoła. Te dzwony! Codziennie ku wieczorowi około 9tej rozlega się kilka uderzeń dźwięcznych i nagle jakby trwożnie zamiera. Władzom zakomunikowane jest oficyalne tłomaczenie, co one znaczyć mają, lecz właściwie te dźwięki są poświęcone pamięci Polaków, poległych za wolność ojczyzny. Kilka tylko niezbyt głośnych uderzeń, jakby tajemnicze przypomnienie, ale najsilniejszy dzwon na trwogę nie rozległby się tak silnie i daleko, jak one, bo wszędzie je słychać tak w stolicy, jak w najmniejszym wiejskim kościołku.

Jak jedwabnik zasklepiamy się w tej jednostajności, ciszy, wśród rozkosznej, orzeźwiającej atmosfery, nie tęskniąc nawet do Warszawy, dokąd w obecnej porze tylko teatr pociąga. Marcellówna gra teraz, a ja nie widziałem jej dotąd na scenie. Gdy największa artystka dramatyczna polska Helena Modrzejewska opuściła kraj dla Ameryki i zaczęła grywać po angielsku, na polskiej scenie przed kilku laty wyróżniały się dwie kobiety: Marcello i Wisnowska. Dziś pozostała z nich tylko jedna, piękna brunetka, — niema już jej jasnej rywalki! Wszyscy pamiętają zapewne z gazet o rodzaju śmierci Wisnowskiej. Oficer rosyjskiej gwardyi, który ją oddawna prześladował swemi względami i dręczył zazdrością, przyszedł do niej jednego wieczora, żądając, by opuściła wszystkich i wszystko dla niego, w przeciwnym razie groził jej śmiercią. Gdy mu oświadczyła, że jest jej obojętnym i że życzy sobie zachować niezależność i swobodę, wyjął rewolwer z kieszeni i miał okrucieństwo trzymać nieszczęśliwą kobietę przez całą noc pod tą groźbą, podczas gdy sam pił i jadł spokojnie. Zrozumiała nareszcie, iż mu się nie wymknie i na wydartych z notesu karteczkach pisała rozpaczliwe skargi i wezwania o ratunek. Kartki te podarte i rozrzucone po podłodze znaleziono po jej śmierci. Nad ranem zabił ją nareszcie, wrócił do siebie i zawołał do kolegów: „Wiecie, że zabiłem Wisnowską?“ Nie wierzono mu z początku, sądząc, że mówi od rzeczy, lecz gdy fakt został sprawdzony, Barteniewa aresztowano. Śledztwo wykazało straszne zepsucie, rozmysł i okrucieństwo z jego strony, to też za pierwszym i drugim wyrokiem sądu, potwierdzonym przez senat, skazanym został nieodwołalnie na 20 lat ciężkich robót. Cesarz jednak uznał za właściwe w danym wypadku zastosowanie łaski monarszej i zmienił ciężkie roboty i więzienie na zdegradowanie w służbie. Barteniew więc został prostym żołnierzem, lecz w tydzień później awansował na podporucznika, w drugi na porucznika i w ten sposób stało się zadość sprawiedliwości jako też łasce monarszej. Biedna Wisnowska! Włosy jej były tak bujne i jasne, oczy takie niebieskie, a uśmiech miał tyle wdzięku i uroku. Widzę ją jeszcze, gdy siedząc obok Marcello w pierwszym rzędzie krzeseł w sali ratusza na odczycie moim o polskiej literaturze, biła brawo z całej siły, z zapałem, w drobne rączki,

---

jednak jest niemożliwe, a życie takie, jak dotąd, trwać dalej także nie może.

— Oni, albo ja — myślał Merten — jedną stronę trzeba wybrać. Życie moje nie przyda im się na nic, nie wybawi ich, nie ocali, ale ocalić ich może moja śmierć. Dopóki ja będę żył, świat obowiązek utrzymywania ich, żywienia, składa na mnie; gdy mnie nie będzie, poczuje się przecież sam do obowiązku względem nich. To już nie będą rodzice, tylko ludzie. Śmierć moja wywoła wrażenie, przypomni sobie o nich rodzina, która teraz spokojnie może się zasłaniać mną, „dorosłym i tak utalentowanym synem“. Do walki dalszej nie mam już po prostu sił, za wielem przeszedł; trzebaby cudu, abym żywy mógł fatalnemu położeniu kres położyć, ale moja śmierć musi coś zmienić. A zresztą... mnie już nie będzie. Ja także czuję, mnie także jest źle, już nie mogę więcej...

Będzie to straszny cios: jeżeli ich zabije, tem lepiej dla nich; jeżeli nie, śmierć z głodu gorszą jest, niż utrata syna.

— Czy tylko będę miał odwagę?... Muszę ją mieć, muszę, muszę! Muszę umrzeć!

A gdyby... a gdyby jeszcze spróbować, jeszcze walczyć, jeszcze żyć... może się przecież co odmieni... Ach! Ileż razy spodziewał się tej odmiany, był jej pewny... Nie, nie odmieni się nic, może być tylko jeszcze gorzej, jeżeli wogóle jeszcze gorzej być może... Jedyną drogą ocalenia rodziców od ostatecznej nędzy jest jego śmierć, jedyną drogą wyzwolenia jego samego od męczarni życia jest samobójstwo. Trzeba umrzeć.

Myśli tej uczepił się gorączkowo, namiętnie: nie chciał rozważać, zastanawiać się, zmęczony jego umysł oparł się na tej idei, jak ptak raniony na podciętej nad wodą gałązce. Wie, że gałąź się złamie i runie z nim razem do wody, ale on już dalej lecieć nie może, ale, byle nie lecieć, on jest gotów wpaść w wodę i utonąć.

Zdenerwowany do najwyższego stopnia organizm Mertena nie dopuszczał nawet do rozumowania. Boleść, jaką sprawi rodzicom, straszna, okrutna, niewysłowiona boleść, od której woleliby z pewnością tysiąc głodowych śmierci, obowiązek względem nich do ostatniej przez naturę przeznaczonej chwili: wszystko to prawie nie istniało dla niego. Nie zdawał sobie z niczego sprawy, nie mógł, nie chciał jej sobie zdawać.

Myśl samobójstwa przychodziła mu zresztą nieraz do głowy i nie była obcą. Skłonny do melancholii, mało mający odpornej energii życiowej a zmuszony do fenomenalnie ciężkiej walki z losem, myślał nieraz o gwałtownem i stanowczem położeniu kresu tej walce. Idea ta potężniała w nim coraz więcej, coraz mniej zdawała mu się straszną śmierć.

A jednak...

— Czy tylko będę miał odwagę? — powtarzał sobie.

Dla czego niema jej mieć? Tam — cokolwiek będzie, nie będzie gorzej, być nie może. A życia — ha, tego to chyba nie będzie mi żal...

Bóg?...

Jakieś głuche zamyślenie owładło umysł Mertena. Oparłszy czoło na rękach, siedział nieruchomy i prawie bezmyślny. To słowo: Bóg, ogłuszyło go, jak cios młota w czaszkę.

Merten nie wiedział sam, czy wierzy, czy nie wierzy. Nie modlił się nigdy, jednak nie mógł zasnąć, nie przeżegnawszy się poprzednio, zupełnie jak dziecko, położone w łóżeczko.

Nagle wstał, wyprostował się i rzekł prawie głośno:

— Cokolwiekbądź, zrobię to!

Podszedł do stolika, wyciągnął szufladę i wyjął z niej mały, inkrustowany rewolwer.

— Ostatnia scena, godna całej tragikomedyi, całego melodramatu. Syn, poświęcając życie dla ocalenia od głodowej śmierci rodziców, strzela sobie w łeb z rewolweru, który dostał na urodziny od ojca. Pyszna scena! Pyszny melodramat. Biłbym brawo, gdybym sam nie był aktorem...

Przyłożył lufę do czoła, i nagle cofnął rękę. Czuł, jak mu krew zbiegła do serca.

Nie! Nie!...

(Dokończenie nastąpi).

ubrane w jasno popielate rękawiczki. Mniej była ładną niż Marcello, ale równie pełną talentu artystką jak i ona. Żałowaną jest i dotąd niezapomnianą.

Nie potrzebujemy jechać do Warszawy, by się spotykać z ludźmi; o parę godzin drogi w okolicy mamy dużo sąsiadów z długiemi i trudnemi do wymówienia dla cudzoziemca nazwiskami. Są to wszystko ludzie inteligentni i po większej części bogaci; posiadają nietylko duże obszary ziemi, które oni i ich synowie umiejętnie wyzyskują, lecz w wielu majątkach są tu fabryki cukru i gorzelnie, a pola zasadzone cukrowemi burakami i kartoflami rozciągają się szeroko. Starsze pokolenie, wychowywane w kierunku demokratycznych i antyklerykalnych ideałów trzyma się ich stale; — charakterystyczną jest jego niechęć do księży wogóle, a w szczególności wstręt połączony z obawą do Jezuitów. Budzę tu niepospolite zdziwienie, mówiąc o nich według mego zwyczaju z zapałem i pewnym podziwem, albowiem większość tutejszych panów, to ludzie z jednej sztuki, którzy tego rodzaju odcieni nie rozumieją. Czytują dużo, — lecz głównie proste, niezbyt głębokie, popularne książki, skierowane przeciw religijnym i politycznym przesądom, zyskują ich uznanie. Żarliwi to patryoci, śledzący z zapałem na widnokręgu politycznym za zmianami, któreby mogły zwiastować lepsze czasy dla Polski.

Młode pokolenie jest bardziej praktyczne, czynne i mało zajmuje się polityką, pogodziło się ono prawie z życiem takiem, jakiem ono mu się przedstawia. W starszem bardziej zajmującymi są mężczyźni niż kobiety, w młodem rzecz się ma wręcz przeciwnie.

Pomijając skrajne pojęcia zachodu o emancypacyi, trzeba przyznać, że tutejsza kobieta nie zajmuje pośledniego stanowiska, dużo ma ona niezależności w swym sposobie myślenia, z pewnością nie mniej od mieszkanek północy, sam zaś poziom jej kultury jest wyższym, bo posiada więcej wiadomości, nie mówiąc już o wychowaniu światowem i towarzyskiem. Młode kobiety tutaj władają wielu europejskimi językami, nie tak jakby się ich uczyły, ale jakby to była ich rodzinna mowa, literatury obce znają na wylot, gdyż cały swój wolny czas spędzają przeważnie na czytaniu, prawie żaden kraj i jego warunki nie są im nieznane, z powodu, iż nieledwie trzecią część życia swego spędzają w ciągłych podróżach. Naturalnie, że spotyka się pomiędzy niemi różne rodzaje a zatem i rodzaj „gęsi“, dość nieznośny, bo pełen pretensyi i wymagań z powodu, iż wie, że ma ładny dzióbek i zalicza się do wydatnego gęsiego rodu. Na szczęście spotkałem tylko jeden egzemplarz w tym rodzaju, natomiast widzę parę okazów szlachetnych sokołów, łabędzia, sfinksa... Mamy tu blizko młodą dziewczynę, która nie jest właściwie piękną, ale tak zgrabną i pełną wdzięku, że zdaje się nią być co chwila. Nie śmieje się nigdy, twarz jej nie nosi nawet banalnego uśmiechu zdawkowej grzeczności. Mówi tylko, gdy się znajdzie z kimś sam na sam, przy licznie zaś zebranem towarzystwie nie odzywa się wcale, a jakkolwiek liczy tylko 24 lata, tak dokładnie wie, co jest wart każdy człowiek i każde kółko w Warszawie, tak jest niezależną, oryginalną i pozbawioną przesądów w swym sposobie myślenia, że niejednokrotnie w zdumienie wprawia, bo zdanie jej mogłoby być zdaniem inteligentnego, rozwiniętego, wytrawnego mężczyzny. Czytała ona ze zrozumieniem wszystkie śmiałe książki, wydane w ciągu ostatnich lat dwudziestu. O dwie mile zaś ztąd w starym, poważnym dworze, który był siedzibą wielu pokoleń, a od którego rozchodzi się siedem cienistych alei, mieszka u swych rodziców, rozwiedziona z mężem, młoda, 30-letnia kobieta. Jest to typ tak niepospolity i interesujący, że rozwódka ta, wszędzie, w każdej stolicy zwróciłaby na siebie uwagę. Ciemnowłosa jak córka Italii, zbudowana jak Rzymianka, łączy w dziwnie zajmujący sposób wdzięki mieszkanek południa z niewypowiedzianym urokiem i czarem słowiańskiego szczepu. Twarz jej przykuwa do siebie, choćby dla tego, że się nigdy podobnej do tej nie spotkało twarzy, szczególnie usta są niepospolite, pełne wyrazu, jak usta wielkich dramatycznych artystek. Gdy się na nią patrzy, mimowoli ma się na myśli jaskrawą purpurę, lub krwistej barwy kwiat podzwrotnikowy, obdarzony odurzającym zapachem. Zachowanie się jej jest spokojne, pełne dystynkcyi, znać w niej dużo panowania nad sobą a głos ma niezwykle melodyjny. Inne kobiety wydają się przy niej niczem, lecz ona sama zdaje się nawet nie wiedzieć o tem, że jest tak wyjątkowo obdarzoną istotą. Ile w tutejszej Polsce jest słowiańskiego wdzięku i południowego ognia, jako też wrącego gdzieś w głębi, tajemniczego, a tak pociągającego życia, wszystko to odczuwa się w tej kobiecie, która w moich oczach jest uosobieniem jej ducha.

Bo też trzeba przyznać, że pomimo ucisku, jakiego nie doznają ani przyłączone do Niemiec prowincye, ani zostająca pod austryackiem berłem Galicya, tu tylko istotnie bije prawdziwe serce Polski, tu jedynie lud ten, wraz z jego charakterystycznemi cechami studyować należy. Stan majątkowy właścicieli ziemskich Polaków w Poznańskiem i wschodnich Prusach jest fatalnym; wielu pozbyło się już swych majątków. Niemcy poparci tysiącem środków i praw wyjątkowych, mając za sobą stumilionowy kapitał rządu i z całą namiętnością a wytrwale prowadzoną propagandę w tym kierunku, wykupują ziemię nieledwie cal po calu. Jakkolwiek zaś polski włościanin tamże z powodu przymusowej nauki jest więcej rozwiniętym, schludniejszym i nawet zamożniejszym niż gdzieindziej, to jednak mniej na nim cech polskich, bo wpływy, jakim ulega, są zbyt różnorodne. Klasa wyższa wychowuje się w niemieckich zakładach i uniwersytetach. Co zaś do Galicyi, ubogiego, górskiego kraju, to jest to tylko, że się tak wyrażę, n e g a t y w n a prowincya Austryi. Mieszkańcy jej używają zupełnej swobody pod względem obywatelskim i narodowościowym, śpiewają pieśni patryotyczne, mówią mowy przy każdej sposobności, ale partye gryzą się tam nieustannie z nieprzejednaną zajadłością. Kraków jest siedzibą klerykalnej i konserwatywnej większości, Lwów zaś wolnomyślnej mniejszości. Jakkolwiek prasa jest tam zupełnie wolną, mało ma wartości, gdyż treścią jej bywają po większej części osobiste napaści, jakie pociąga za sobą żywa walka partyjna. Z tego względu przypomina mi nasze duńskie stosunki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wystawa etnograficzna w Pradze.

Wystawa etnograficzna w Pradze została w dniu 21 z. m. zamkniętą. Ściągała ona liczne tłumy, przychodzące po największej części w celu manifestowania swych uczuć narodowych i miłego spędzania czasu w zbyt obficie najeżonych pawilonach i gospodach.

Na wystawie panował zazwyczaj ruch bardzo wielki. Zwiedzali ją też gęsto różni goście słowiańscy, zwłaszcza Bułgarzy, Polacy, a dalej Rusini i Rosyanie. I ten to ruch robił najsilniejsze wrażenie. Widziałeś lud, silny duchowo, spojony, dobijający się swych praw może nazbyt brutalnie, ale charakteru nie zmienić ludowego. Czy to leży w istocie czeskiej, czy odziedziczonem zostało po sąsiadach niemieckich, nie wiemy: najprędzej jednak jedno i drugie przyczyniło się do wyrobienia pewnej szorstkiej i surowej siły w tym dzielnym narodzie. Może ona jest praktyczną w walce z wrogiem, który do przeprowadzania swych ideałów używa środków, bynajmniej nie wonieżących moralnością, z tem wszystkiem jest w tem coś odstręczającego dla wydelikaconych nerwów polskich.

Samej wystawie nikt piękności odmówić nie może lubo grzeszyła nieustosunkowaniem. Niektóre miejscowości były przedstawione najszczegółowiej, inne słabe tylko dawały pojęcie o rzeczywistości. Pochodzi to z tej przyczyny, iż pracował tu, kto chciał, a przeto nic dziwnego, że znalazły się takie strony, których przedstawiciele nie czuli wielkiego pociągu do tracenia czasu na urządzenie działów im przekazanych. Dalej, na wystawie pewne części były traktowane zbyt powierzchownie np. dział kobiet czeskich, dział czasopismowy i t. d., a z drugiej strony spotykaliśmy działy, chorujące na przeciążenie np. dział wyszywek i ubiorów ludowych. Na ogół jednak (mówimy wyłącznie o stronie etnograficznej) wystawa robiła wrażenie dodatnie. Zadaniem jej było przedstawić mniej więcej dzisiejsze życie l u d u, jego zwyczaje, obrządki, zarobkowanie, oświatę, dalej rozwój kulturalny n a r o d u czeskiego. Jeśli zwrócimy uwagę, że przed kilku laty Czesi mieli wystawę t. zw. jubileuszową, a teraźniejszą stworzyli niemal wyłącznie za własne pieniądze, tem łatwiej zapomnimy o jej usterkach, aby podziwiać nieprzepartą żądzę dążenia naprzód i wielką żywotność kilkomilionowego zaledwie narodu.

Prawdziwie za to wspaniale zamigotała wystawa przed oczyma swoich cudzoziemców, jako rzucenie rękawicy tym, którzy nad Czechami chcieli zaśpiewać „requiescat“. Usłyszeli oni z milion piersi wydzierający się głos „Ave Caesar morituri te salutant“, a głos ten brzmiał tak potężną ironią, że cezar musi powoli zwrócić baczniejszą uwagę na tych ludzi już uśmierconych, — znowu zmartwychwstałych. Aby jak najczęściej ukazywać się gromadnie, urządzali Czesi ciągłe pochody krawców, szewców, stróży, kucharek, występy całych miast, najrozmaitsze zabawy, święcili pamięć najzasłużeńszych mężów za pomocą przeróżnych uroczystości, wyprawili kilka wesel ludowych, by zaznajomić ludność miejską ze zwyczajami wiejskimi, w których do dziś przechowały się jeszcze obrządki bardzo dawne, sięgające nawet czasów pogańskich. Przygotowali dalej dla Prażan niespodziankę w postaci partyi żywych szachów, wyobrażającą bitwę stoczoną w r. 1469 pod Wilemowem między królem węgierskim Maciejem Korwinem i czeskim Jerzym z Podziebrad. Sprowadzili z Węgier Słowaków i górali tatrzańskich, by pokazać pełne dzikości tańce i pełne rozdzierającego smutku śpiewy. Zbudowali prawdziwie uroczą fontannę kilkupiętrową, bardzo bogatą w odmiany wodotryskowe. I za pomocą tych sztuczek różnorodnych dosięgli celu: zamanifestowali się przed światem i swą monarchią, jako naród żywy, silny, a zwłaszcza jednolity (Czesi, Morawianie i Słowacy), co może w rzeczywistości nieco mniej ponętnie wygląda. I to mniemamy jest największą korzyścią z tegorocznej wystawy czeskiej. Ilością bowiem zjazdów nie może się ona poszczycić, a i te, co były, (zaledwie parę) są niczem, bo do żadnych poważniejszych nie doprowadziły wyników. Przyjechano, aby się pobawić i rozejść niebawem.

Drugą korzyścią może być muzeum etnograficzne, o ile zostanie z okazów wystawowych utworzonem. Zamiar ten przyświecał od samego początku inicyatorom wystawy, a dziś w opinii znajduje gorące poparcie. Spodziewanem jest także zwiększenie popytu na czasopisma i wzmocnienie ruchu księgarskiego.

Z. M.

OBRAZKI LWOWSKIE.

(Rozwój Lwowa. — Fizyonomia wyborów. — Ruch robotniczy i „dom robotniczy“. — Otwarcie nowego roku w uniwersytecie lwowskim. — Publiczne posiedzenie w Ossolineum.)

I.

Kto lat kilka Lwowa nie widział, dla tego ożył on niejako, przeobraził zewnętrzną swoją postać, dostroił się prawie do tempa swoich elektrycznych tramwajów, odział w szatę wielkomiejską swe bulwary, gmachy publiczne, kawiarnie. Sterczy wprawdzie jeszcze dawny teatr, którego przybytkiem muz, sądząc z zewnętrznego wyglądu, mianować trudno, rzadko migają płomyki latarni na podrzędnych ulicach, po do-

mach brak wody, a po mieszkaniach nie dostaje przedpokojów. Te i tym podobne braki, które człowiekowi, nawykłemu do zachodnio-europejskich obyczajów, wydają się kardynalnemi grzechami przeciw nowoczesnym urządzeniom miejskim, pominąć przecież można, pocieszając się, że są już tylko chwilowe, zwłaszcza, gdy z filozoficzną obojętnością odwrócimy się od zewnętrznych stron życia, pragnąc odgadnąć jego umysłową i moralną istotę. A tygodnie ostatnie dostarczyły niektórych znamiennych rysów do zobrazowania lwowskich stosunków.

Przedewszystkiem mieliśmy wybory do sejmu. Jak wiadomo z artykułów krakowskiego korespondenta była to dla Lwowa fala, która rzucając w różne strony nawę wyborczą, przybiła ją wreszcie do tego samego brzegu, — jakiś taniec na miejscu, którego konkluzyą był wybór tych samych posłów, obarczonych ciężkiemi zarzutami przez zgromadzenia przedwyborcze. Zewnętrzne *decorum* walki przedwyborczej zachowano przecież znakomicie: był moment, w którym na zgromadzeniu dwaj profesorowie wyższych zakładów naukowych (uniwersytetu i politechniki) Jegerman i dr. Piętak rzucili się ku sobie jak groźni przeciwnicy, był znowu inny, kiedy przeciw i za wyborem ks. Adama Sapiehy agitowano tak silnie, że spieszący do ratusza wyborcy zmuszeni byli przechodzić jakąś tryumfalną bramą, której jedną stronę stanowił herold, ogłaszający zrzeczenie się kandydatury przez księcia, gdy po drugiej widniał plakat, polecający go najgoręcej uwadze wyborców. Przeciągały wozy meblowe okryte odezwami komitetów, nie zbudowane wprawdzie na ten cel, ale chwilowo wolne od przeprowadzki, która nie odbywa się w środku miesiąca. Te konwulsyjne wysiłki nie zdołały przecież rozgorączkować wyborców, którzy nietylko nie przerwali drzemki, by powierzyć mandaty więcej zaufanym mężom, ale nawet jak na wybory w wielkiem mieście w bardzo małej garstce znaleźli się przy urnie. (Nawet połowa uprawnionych nie stawiła się do urny.) Policya znała widocznie swoich ludzi i nie dokonywała takich jawnych gwałtów, jak w Krakowie na p. Danielaku, lub w Przemyślu na dr. Franko. Wobec słabych przejawów politycznego zainteresowania nic dziwnego, że uwaga ogółu zwłaszcza po za granicami Galicyi zwróciła się do walki wyborczej po wsiach, a jedynem pismem, które wśród lwowskich stosunków istotny udział w wyborach przyjęło, był organ ludowców, działających na tej wsi, „Kuryer lwowski“.

Jeżeli bowiem w prastarym grodzie arystokracyi i stańczykieryi, w Krakowie klasy wyższe wykazują swą żywotność, to w bardziej demokratycznym Lwowie ruch społeczny nie narusza spokoju warstw wyższych, ale płynie od podstaw piramidy społecznej, a więc od partyi ludowej i robotniczej.

Tej ostatniej, choć z powodu ustawy wyborczej nie przyjmuje ona właściwie udziału w najbardziej ożywionym okresie politycznego życia, poświęcić tu muszę słów kilka.

Partya robotnicza w Galicyi nie z powodu różnic programowych, gdyż jest on jednolitym dla całego kraju, ani nieporozumień osobistych, lecz z powodu geograficznego położenia ma dwa komitety centralne: lwowski i krakowski. Porozumiewają się one z sobą i z organizacyami rozsypanemi po całym kraju na dorocznych zjazdach, z których ostatni, czwarty z kolei zasiadał 28 i 29 września w Nowym Sączu. We Lwowie organizacya opiera się na stowarzyszeniach zawodowych i towarzystwie „Siła“. Obok tego istnieje kółko naukowe, którego celem jest szerzenie wiedzy i do którego wstępować mogą ludzie wszelkich obozów.

Bardzo doniosłym faktem dla lwowskich organizacyi robotniczych było założenie centralnego punktu, w którym grupować by się mogły i który otwarto obecnie w pasażu *Hausmann* pod nazwą „Domu robotniczego“. Otwarcie tego tymczasowego schronienia, (płyną bowiem składki na zbudowanie własnego „domu“, który śmielszym marzycielom przedstawia się jako pałac pracy) odbyło się uroczyście dnia 22 września. Na uroczystości przemawiali delegaci różnych stowarzyszeń, a największy entuzyazm wywołał ceglarz, który odezwał się imieniem najbiedniejszej i najwięcej upośledzonej kategoryi robotników, od niedawna tworzących stowarzyszenie. Nie brakło też i przedstawicieli Rusinów, ani robotników żydowskich. Nie wymowa i swada przemawiających, ale serdeczny nastrój zgromadzenia, które powoławszy zaproszonych imiennie odbyło się bez tradycyonalnego komisarza policyi, sympatycznie oddziaływały nawet na gości, stojących dalej od partyi. Nawet estetyczna strona programu, a więc muzyka, śpiewy, deklamacye istotnie były estetyczne. Przyznać muszę, że nasi niewątpliwie mniej ukształceni i zamożni robotnicy przewyższają pod tym względem niemieckich socyaldemokratów, u których estetyczna strona nawet w stolicach dużo pozostawia do życzenia.

Dom robotniczy zajmuje dwa piętra i łączy obecnie następujące stowarzyszenia: „Ogniwo“, towarzystwo robotników budowlanych, do którego należy 3000 członków, „Siła“, stowarzyszenie dla kształcenia robotników z 400 członkami, zawodowe „pracowników handlowych“, 300 członków, „Kółko naukowe“, 60 członków, oraz redakcyę partyjnego pisma „Nowy robotnik“. Wielka sala zgromadzeń ozdobioną jest w insygnia robotnicze, w popiersia poetów polskich oraz mistrzów naukowego socyalizmu Marksa i Lassalle'a. Nie zapomniano o bufecie, sali bilardowej, czytelni czasopism, zaopatrzonej w poważniejsze czasopisma polskie i niemieckie rozlicznych kierunków. (Między innemi znajduje się w czytelni „Przegląd Poznański“).

Tak więc robotnicy mają obecnie własny swój *dom*, który i inne stowarzyszenia przyciągać będzie. W najbliższym czasie zapisać się mają stowarzyszenia zawodowe krawców, ceglarzy i fryzyerów, wszystkie trzy dotąd bardzo nieliczne. Użyteczność „Domu“ okazała się już przy rozprawach nad ustawodawstwem przemysłowem w stosunku do robotników zajętych w drobnym przemyśle. Odbywały się one w głównej sali 6-go pazdziernika, a więc w tym samym dniu, w którym cała Austrya rozpoczęła energiczną akcyę za rozszerzeniem ustaw ochronnych i na przemysł drobny.

Nie wiem, czy instytucye naukowe, uniwersytet i Ossolineum wybaczą mi blizkie sąsiedztwo z ruchem robotniczym, dla którego podobno nie najlepiej są usposobione, odpowiem im przecież: *c' est la vie!* i przejdę do aktu tegorocznego otwarcia uniwersytetu lwowskiego w auli starego uniwersyteckiego gmachu.

Może niewiadomo czytelnikom „Przeglądu“, że tradycyonalnym obyczajem znajdują się przy tej uroczystości trzej biskupi: katolicki, ruski i ormiański w pontyfikalnych szatach, rektor w purpurze i gronostajach, profesorowie wszechnicy w togach z szafirowego i czarnego aksamitu, szereg pedelów z berłami, dygnitarze miejscy, studenci i garstka publiczności. Ta ostatnia, to głównie żony i córki profesorów, znajdują się zaś i troskliwe matki, które chodziły na — uroczyste akty do gimnazyów, gdy synowie uczęszczali do klas, a teraz wydają się z naiwną chęcią dowiedzenia się, co to jest owa wszechnica, do której syn uczęszczać począł.

Obecny rektor profesor Balzer, znany już, choć młody jeszcze historyk, zagaił zgromadzenie przeglądem dawnych i dziś istniejących wszechnic polskich. Stwierdziwszy smutny, a jedyny w dziejach dziewiętnastego stulecia fakt zmniejszenia się liczby uniwersytetów w krajach polskich przez zamknięcie wileńskiej akademii i zruszczenie uniwersytetu warszawskiego, zwrócił się do młodzieży z upomnieniem, aby tem gorliwiej popierała uniwersytety galicyjskie. Skoro przemoc tak bardzo zacieśniła źródła polskiej nauki, podwójny mamy obowiązek strzedz jej i nad nią pracować tam, gdzie jeszcze ręka wroga swobodę pozostawiła. Obowiązek to tem ważniejszy, że cały szereg słynnych nazwisk dodawał blasku uniwersytetom polskim, a imię Kopernika dowodzi, że naród polski, choć nie przoduje dziś na polu nauki, zdolnym jest do stwarzania wszechświatowych geniuszów. O żyjącem pokoleniu profesorów i uczonych prof. Balzer taktownie zamilczał, gdyż sąd o nich należy do historyi.

Ciekawem było przemówienie prof. Głąbińskiego, ekonomisty, nietyle ze względu na temat o współczesnych kierunkach w nauce ekonomii i pochodzeniu ich, — mówił on bowiem rzeczy znane, — ale ze względu na nacisk, jaki położył na naukowe znaczenie szkoły komunistycznej. Nie podziela on jej poglądów, uważa je przecież za wiele żywotniejsze i bardziej doniosłe od teoryi szkoły wolnego handlu i przyznaje, że mają przyszłość przed sobą. Nie miliony przeto popierające w praktyce socyalistyczno-komunistyczne teorye, ale naukowa ich doniosłość zaznaczoną została na galicyjskiej wszechnicy.

Publiczne posiedzenie w zakładzie narodowym im. Ossolińskich, który, jak wiadomo, posiada zbiory przeważnie polskich pamiątek i bardzo bogatą bibliotekę, rzuca nowe światło na naukową działalność Lwowa. Zagaił je prof. Matecki, zastępca kuratora. Biblioteka posiada około 100,000 dzieł i 3690 rękopisów, a w roku ubiegłym zasiloną została nowemi dziełami w ilości 2500. Jakkolwiek biblioteka uniwersytecka jest bardzo zasobną, to przecież i w Ossolineum, dostępnem dla wszystkich, pracowało przeciętnie po 15 osób dziennie. Istnieje tu również czytelnia przeznaczona dla młodzieży i szerszej publiczności, w której było 12,222 czytujących. Posiedzenie ubarwił dr. Bronisław Gubrynowicz zajmującym referatem o mularzach na dworze Jana III.

Szczegóły podane w dzisiejszym obrazku, to cząstka działalności Lwowian - mężczyzn, w następnym pomówię o kobietach, bo niewieścia sfera, choć nie może zaznaczyć się w życiu publicznem, jest tu przecież bardzo czynną.

Z. S. D.

Z estrady i sceny.

(*Łotrzyca*. Sztuka w 5 aktach K. Zalewskiego.)

„Łotrzyca“ Zalewskiego i „Demon miłości“ Mottego — dziwne podobieństwo. Tu i tam ta sama bohaterka, tu i tam ta sama ofiara, tu i tam pokrewne rezonerstwo, tu i tam te same kontrasty przerafinowanej rozpustnicy i syreny z jednej, prostego, serdecznego, czystego jak łza dziewczęcia z drugiej strony. Tylko ramy obrazu szersze i różnorodność typów obfitsza w utworze Zalewskiego, tylko rozwiązanie dramatu tragiczniejsze w utworze Mottego.

Nie chciałbym jednak, aby ktokolwiek w podobiźnie dwóch na poznańskim i warszawskim gruncie wyrosłych utworów upatrywał stosunek dłużnika do wierzyciela lub ojca do syna; — być może, że „Demon miłości“ zrodził myśl utworzenia „Łotrzycy“, ale pokrewieństwo typów wyłoniło się prawdopodobnie z tożsamości sfery i z właściwej istoty demonizmu kobiecego, pokrewieństwo kontrastów zaś uważam za naturalne i powszechne dążenie wydobycia najwyższej siły i plastyki na mocy psychologicznych świateł i cieni. Demonizm wycisnął na literaturze nowoczesnej wyraziste piętno, a ród „Dalili“ i „Heddy Gabler“ tak się rozplenił w świecie kulis, jak swojego czasu ród Werterów, Gustawów, Lar i Korsarzy w poezyi romantycznej. Te piękne, czarem zmysłowych rozkoszy otoczone bachantki, te pieszczczące się męką kochanków hetery, te tajemniczym urokiem nerwów rozhulanych pociągające histeryczki, te rafinowane komedyantki, grające na sercach męzkich jak mistrz na klawiszach fortepianu, te hypnotyzujące czarodziejki, — one wszystkie mniej lub więcej podobne do siebie, — błyskotliwe okazy głodnej bezustannych wzruszeń nerwowości schyłkowej i moralnego nihilizmu. I jest w tych typach jeszcze rys jeden, — najwybitniejszy w Strindbergowskich bohaterkach, lecz powtarzający się u wielu autorów nowoczesnych, — jest walka o królestwo płci, jest jakaś zemsta demoniczna umałoletnionej samicy, jest namiętna żądza, by królować nad królami świata i deptać,

w prochu rozcierać, druzgotać Cezaryzm męzki. Ta walka, rozgrywająca się dziś na arenie politycznej pod hasłem emancypacyi lub feminizmu wre tutaj w dziedzinie stosunków płciowych z nierównie większą potęgą, staje się odwetem za wiekową niewolę, za przeszkody stawiane w namiętnej pogoni równouprawnienia i za znienawidzoną wyższość zwycięzkiego intellektu mężczyzny. Jest ona charakterystyczną cechą demonizmu literackiego i rozszerza — mianowicie w dramatach autora „Ojca“ i „Wierzycieli“ — kocią drapieżność kobiecej kokieteryi i zatratę zmysłu moralnego do tragicznego ogromu walki ideowej, starcia dwóch światów, wyciągających ręce po berło i koronę.

Któż jednak w tej walce kobiety z mężczyzną pada ofiarą u stóp demonów? Nie „mąż“ — uosobienie typu męzkiego, lecz ów połowiczny „*homme-femme*“, ów „*vir feminini generis*“, wyhodowany w cieplarniach schyłkowej atmosfery. Może on być potęgą umysłową, może być harfą, grającą „pieśń nad pieśniami“, może myśl mieć wyostrzoną, głęboką jak morze, subtelną jak kamea, ale brak mu będzie woli i energii, — brak kości temu „*homme sans os*“. A może właśnie dla tego, że jest artystą lub myślicielem, nie będzie „mężem żelaznym“. Natura wysilona w jednym kierunku, odbijać się lubi w drugim, — wydelikacone czucie artystyczne pociąga za sobą utratę woli i siły, — wybujałość fantazyi, lotność i głębia myśli, wrażliwość duszy tuk z kości męzkiej wysysa. Nie mówię, że tak jest zawsze — Vasari inne świadectwo wystawia dla Lionarda da Vinci i Michała Anioła, — ale widzę, że tak jest często, — dziś więcej niż kiedykolwiek. Ofiary demonów to prawie bez wyjątku artyści i myśliciele. Löwborg u stóp Heddy Gabler to filozof i socyolog, — Żarski u stóp Wyszogrodzkiej („Demon miłości“) to poeta, — kochanek Dalili to malarz — bohater „Wierzycieli“ to rzeźbiarz — Marzeński, ofiara „Łotrzycy“ to znowu artysta i literat. Równe tam fizyognomie duchowe, — wszyscy oni genialni, wszyscy bez woli, bez energii, nerwowi i słabi. Tylko demony oraz ich ofiary w północnej literaturze posiadają obok właściwości typowych zawsze jakiś wyodrębniający rys indywidualny (Hedda Gabler — Löwborg), literatura zaś francuska i polscy jej naśladowcy nie indywidualizują ściślej swoich Łotrzyc i Marzeńskich, a tem samem ich bohaterowie, wyglądają jak noże z jednego tuzina. Nie znaczy to, żeby nadsekwańskie i nadwiślańskie Dalile i zdeptani ich kochankowie pozbawieni byli zupełnie plastyki i życia, lecz powoduje pewną banalność, pewną pospolitość kreacyi.

To też w „Łotrzycy“ Kaźmierza Zalewskiego nie ma ani jednego typu, któryby robił wrażenie manekinu, lecz nie ma również ani jednego nieomal, któregobyśmy już gdzieś i kiedyś nie widzieli. A nadto wypukłość tych wszystkich postaci roztapia się tu poniekąd w iście zabijającem rezonerstwie, bo w długim szeregu utworów zdolnego komedyopisarza nie znajduje się żaden zalewający nas taką powodzią oratorskich popisów. Nawet „Jak myślicie“ — ta nużąca, rozdeklamowana teza, — takich ciężarów krasomówczego rozumowania nie dźwiga. Jest to wręcz coś rozpaczliwego, gdy ci panowie Bronisze i Marzeńscy informują nas o swoich poglądach na sztukę lub opowiadają milowe alegorye o czterech dudkach ze zgaszonemi cygarami, a ogarnia nas tem większe zdziwienie, gdy pomyślimy, że autorem „Łotrzycy“ jest Kaźmierz Zalewski, uczeń i wielbiciel Francuzów, — tych mistrzów techniki scenicznej. Gdyby tak w obręcz żelazną ująć najnowszą premierę poznańską i akt pierwszy z drugim, akt czwarty z piątym połączyć, to zaliczyłbym może tak sprasowaną *trzyaktową* „Łotrzycę“ do lepszych utworów literatury dramatycznej, bo posiada ona sceny wspaniałe, posiada mianowicie akt III pierwszorzędnej siły, — ale w formie obecnej pozostanie utwór Zalewskiego pustynią monotonną o kilku palmach gdzieniegdzie rzadko rozsianych.

Przypominam sobie, że przed kilku laty byłem na sztuce jednego z starszych pisarzy niemieckich. Utwór przyjęto przez wzgląd na dawne zasługi i rozgłos autora z pewnem uznaniem, ale wiał chłód lodowy z lóż i krzeseł i w dźwięku oklasków znać było przymus i rozczarowanie. Odczuł to posiwiały w pracy literackiej autor i gdy po zapadnięciu kurtyny dłoń przyjaciół ściskał, uprzedził takiem słowem konwencyonalny komplement, wiszący na ustach naszych: „Nie mówcie wy nic. Widzę, że się starzeję i trzeba będzie rzucić się wyłącznie na powieść“.

To zdanie wysyłam dzisiaj pod adresem Kaźmierza Zalewskiego, bo lubo nie zawiera ono może prawdy bezwzględnej, to przecież historya literatury stwierdza na licznych przykładach jego słuszność. Zdaje się, że tylko pełnia sił, niewystudzone czucie i krew raźno pulsująca w żyłach jest w stanie wydać dramatyczne życie. Göthe jedynie w młodzieńczych utworach scenicznych zdradza nerw potężniejszy, Ibsen w ostatnich utworach utracił wiele z pierwotnej siły i dramatycznej energii. Pierwszy ubrał się w tunikę grecką i w oliwnych gajach pieścił się koturnową deklamacyą Hellenów, drugi rozpływać się zaczął w coraz to mglistszym mistycyzmie i utopił dramatyczność w tych wydłużonych do nieskończoności znakach zapytania i tajemniczych niedomówieniach. Podobne cechy omdlenia wykazują również najświeższe utwory Zalewskiego. Jakaż to świeżość bije z „Górą nasi“ lub z „Friebego“, jakiż zanik sprężystości i ruchu zdradza „Łotrzyca“! W utworach Zalewskiego pojawia się z roku na rok coraz więcej żywiołów powieściowych, lecz romans i dramat to dwie odmienne dziedziny, dwa światy o różnych warunkach bytu. Świetny ustęp powieściowy, przeniesiony żywcem na scenę, wywierać może wrażenie senliwego gadulstwa, i odwrotnie: niejedna piękna scena komedyi, oprawiona w ramy powieściowe, zdawać się będzie czemś niewykończonem i połowicznem. To też element narracyjny, grasujący coraz namolniej w sztukach Zalewskiego, obniża wartość kompozycyi i siłę utworu. On zatamował koła najświeższej sztuki głośnego komedyopisarza, on mimo, bądź co bądź, interesującej i poprawnie narysowanej postaci „Łotrzycy“, mimo całej galeryi typów różnolitych i żywych, mimo kilku scen mistrzowskich, subtelnie wycieniowanych, o drgającym nerwie dramatycznym, zgłuszył puls utworu i w sen go upowił.

A sen to był u nas głębszy niż gdziekolwiek, bo dla „Łotrzycy“ nie ma artystów w Poznaniu. W grze panny *Vernon* w tytułowej roli było tylko odczucie typu, ale nie było ani warunków, niezbędnych dla plastycznego oddania, ani siły, ani wykończenia. Jest to młoda artystka, użyteczna już dziś niewątpliwie w zakresie łatwiejszych kreacyi, ale niezdolna odtworzyć postaci, wymagającej nietylko finezyi, lecz silnych dramatycznych akcentów i pierwszorzędnej rutyny. Panna Vernon ma w postaci swojej i w ruchach wężową giętkość, wywierającą w rolach kuszących łotrzyc nader korzystne wrażenie, — ale głos nieczysty i temperament dramatyczny, uśpiony jeszcze, obniżają wartość jej artystycznych interpretecyi. Gdzie jedynie swobody i nieco finezyi rola wymaga, tam młoda artystka spodziewać się może już dzisiaj uznania, ale gdzie potęgą dramatu przemówić ma scena, gdzie ogromu sił potrzeba dla opanowania i dokładnego przeprowadzenia roli, tam panna Vernon dziś jeszcze na tryumf liczyć nie może. I dla tego w akcie drugim „Łotrzycy“ miała ona szczęśliwe momenty, — akt trzeci natomiast zdradzał niemoc zupełną, a dwa ostatnie zmęczenie, zacierające wyrazistość rysunku. Artystka, która w jednoaktowej „Barkaroli“ tak świetne odniosła zwycięztwo, okazała się bezsilną w pięcioaktowej, dźwięczącej bogactwem tonów i lśniącej jaskrawemi barwami kontrastów „Łotrzycy“.

Z innych wykonawców sobotniej premiery zasługuje na uznanie pan *Berski* w roli Miszki, lubo akcenty niemieckie w polszczyźnie tego kolonisty raziły sztucznością i brakiem konsekwencyi; Schmetenkatz p. *Knapczyńskiego* miał chwile porywającego humoru, ale ten bankier warszawski tracił zanadto — hałatem. Gra p. *Grabowieckiego* natomiast w roli Marzeńskiego była bladą od pierwszej do ostatniej sceny i z niepokojem szukałem owej szczerości, która biła z gry tego samego artysty w „Intratnej posadzie“. Zdawało się istotnie, jakby tam zamarł każdy dźwięk silniejszy lub uwiązł w gardle na połowie drogi. Co do pana *Skirmunta*, to żadnemu z rezonerów jego nie brak artyzmu, a więc i rola Bronisza była artystyczną kreacyą, ale gdyby ten zdolny artysta zechciał mniej wierzyć rutynie swojej, więcej ukochał sztukę i więcej pracy w nią wkładał, to uznanie nasze byłoby niezawodnie głębsze i serdeczniejsze.

Z innych wykonawcow ról męzkich odnieśli niewątpliwy „*succès d'éstime*“ panowie *Łaski i Jakubowski*, — pan *Nowacki* natomiast stworzył zamiast arystokratycznego lowelasa coś w rodzaju operetkowego łobuza, a p. *Szatkowski* zagrał scenę przy fortepianie tak, że przypominał nie artystę muzyka, lecz ogródkowego karykaturzystę, pokazującego „Koncert amerykański“. Z typów kobiecych, grupujących się około „Łotrzycy“, tylko jedna „Władka“ odznacza się wybitniejszą indywidualnością i nastręcza temat do gry popisowej. Rolę tę powierzono pannie *Ogińskiej*, a młoda artystka wywiązała się bez zarzutu z trudnego zadania. Jej „Władka“, ten duch służebny pięknej syreny, ta „perła pokojówek“, była istotnie wiernem tłomaczeniem intencyi autora, — miała rafineryę i spryt, — i miała w sposobie suwania po scenie jakieś kocie ruchy. Jak chodzić? Jak indywidualizować chodzenie? Może artystki nasze zastanowią się nad tą kwestyą i poświęcą jej nieco pracy i studyów.

Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(Garść wspomnień i nadziei. — Naiwność czy komedya?)

W chwili, gdy feljeton ten znajdzie się w rękach czytelników naszych, teatr poznański święci srebrny jubileusz istnienia swojego. Początki jego znam tylko z tradycyi, ale i te lat kilkanaście, na które własnemi patrzyłem oczyma, mienią się jak barwy kalejdoskopowe i tysiącem dziwnych mówią do mnie głosów.

Mrok zwolna kładzie się na książki i papiery, deszcz jesienny dzwoni po szybach, wsuwam się głębiej w mój fotel, przymrużam oczy i roję.

Byłem dzieckiem wonczas i na kwartanerskich tronowałem ławach, gdy zdobywszy od jakiegoś wuja czy ciotki kilka złotówek, po raz pierwszy wstąpiłem w progi „gimnazyalnego parteru“. Wchodzę i zrazu nic innego nie widzę krom tłumów wyrosłych młodzieńców, zatopionych w cichej kontemplacyi lub rozprawiających żywo z wyrazistą mimiką ócz i twarzy. Nieśmiało staję w kąciku i staram się oczami przebić ten mur czarny, zbudowany potężnemi plecami panów prymanerów. Próżne wysiłki, — na płacz mi się zbiera zaczyna. Snać jednak odgadł jeden z wąsatych kolegów pragnienie moje i rozpacz, bo usłyszałem nagle głos tubalny: „Puśćcie tam tego malca do frontu“. I rozstąpiła się ciżba jak fale morza czerwonego za dotknieciem laski Mojżeszowej, a malec, popchnięty kilku szturchańcami, znalazł się wkrótce u baryery.

— „A widzisz?

— „Widzę.

— „A dziwujesz się?

— „Dziwuję“.

Nareszcie dzwonek uderza, muzyka zabrzmiała i wkrótce tajemnicza kurtyna z wizerunkiem poznańskiego ratusza w górę się unosi. Grano „Halkę“ w ten wieczór. Mój Boże! jak to już dawno, gdy „Halka“ z sceny poznańskiej uciekła... Co się wtedy działo w duszy czternastoletniego chłopca, tego opisać się nie pokuszę. Wiem tylko, że do takich uniesień, do takiego bezkrytycznego zachwytu jedno serce dziecięce jest zdolne, — wiem, że była to chwila wielkiego szczęścia, no! i wiem także, że przez tydzień cały kochałem się na

zabój w tej „Halce“ — ówczesnej pannie Schürer a dzisiejszej pani Skirmuntowej. Chyba mi tego wyznania nie poczyta za złe ta primadonna z przed szesnastu laty, a obecna reprezentantka charakterystycznego komizmu. Postarzeliśmy się oboje — ja piórem na chleb zarabiam, ona wspomnieniami żyje, — i mamy prawo mówić o pięknej „Halce“ i skromnym kwartanerze z parteru gimnazyalnego jak o cudzych ludziach. Zresztą niejedno serce młodych i starych żywszem wonczas uderzało tętnem, gdy panna Schürer królowała w operze poznańskiej. Była to ulubienica publiczności, porywająca głosem swoim i grą artystyczną, a tryumfy jej zaliczyć można śmiało do piękniejszych momentów jubileuszowego okresu. Przesuwały się potem jeszcze różne Halki na poznańskiej scenie, ale żadna — ani Skalska, ani Smetana – nie dorównała primadonnie naszej.

Niestety, laurowe wieńce panny Schürer zwiędły i opera poznańska jest tylko wspomnieniem. Z roku na rok blask swój traciły barwy teatralne i monotonna szarość rozpościerała się nad przybytkiem sztuki narodowej. Dziś zostały nam tylko dramat i komedya, a i one gasły powoli i w dół się staczały. Jakaż to wspaniała galerya artystów po wawrzyny sięgała na scenie naszej! Wszystko to rozproszyło się gdzieś po świecie szerokim, niektórzy zmarnieli, inni laur zdobyli w obcych teatrach, a nam jako zabytki lepszej przeszłości pozostali tylko panowie Skirmunt i Królikowski. Ta sama gwardya dziś jeszcze króluje i w ostatnich latach chyba jeden Trapszo i Sosnowski przy nich stanęli jak równi przy równych.

O! miała piękne chwile scena poznańska, miała sezony, ćmiące blaskiem swoim nawet wielkie miasta, miała artystów potężnych, dyrektorów zręcznych i reżyserów, miłujących sztukę gorąco i znających jej wszystkie tajniki. Tak! to było wczoraj, a dziś sztuka tu inna i inna publiczność... Były czasy piękne, gdy przed teatrem szeregi karet czekały na gości, gdy pierwsze loże lśniły blaskiem tualet i brylantów drogich, gdy kwiatami zasypywano scenę i za kulisy słano ulubieńcom klejnoty. Dziś piesze tłumy opuszczają bramy teatralne, rżenia rumaków i trzasków z bicza nie słychać, dziś bukiet zaledwie w dzień wielkiego święta ktoś rzuci artystom, dziś loże i krzesła świecą rozpaczliwemi pustkami a tylko na górnych piętrach coraz pełniej i gwarniej z dnia na dzień. Ta fizyonomia teatru to fizyonomia społeczeństwa, ten przewrót w przybytku sztuki to odbicie przewrotu w stosunkach naszych. W dwudziestu i pięciu latach z patrycyuszów ziemskich zaledwie cząstki pozostały, — jedni poszli na marne, inni w pocie czoła po miastach i miasteczkach na chleb powszedni pracują, a reszta, broniąc sił ostatkiem tej polskiej ziemi, na którą czycha Moloch kolonizacyi, nie ma już złota na loże, karety i kwiaty.

Szkoda tych czasów, bo sztuka tylko w bogatych społeczeństwach kwitnie, – Rzym ukochał ją dopiero wtenczas, gdy światem zawładnął, — nie miała jej Sparta, miały ją Ateny. Więc nie dziw, że wraz z patrycyuszami chyli się ku upadkowi i poznański teatr, — tam ruiny i tu ruiny, — lecz tam nadziei już niema a tu na gruzach błyska światło przyszłości. Żyjemy obecnie w przełomowej chwili, gdy jedna warstwa ginie a druga w szranki wstępuje, gdy jedna już upadła a druga jeszcze nie urosła, jeszcze nie zmężniała i serc nie rozpaliła temi płomieniami, które bądź co bądź gorzały wśród zdetronizowanych „ojców narodu“. Ta chwila zatem jest najniekorzystniejszą dla rozwoju sceny narodowej, ale z rojnych galeryi i lóż drugiego piętra coraz silniej odzywa się wróżba, że choć stare filary w proch się potoczyły, to lud nowe kolumny zbuduje. Demokratycznem jest już dzisiaj typowe oblicze teatru naszego i demokratyzacya ta z roku na rok silniej się rozwija. Im szersze tłumy przenika oświata i świadomość narodowa, im bujniej rozkwita dobrobyt ludu, tem ponętniejszym staje się dla niego czar sztuki ojczystej, a im szczelniej lud teatr zapełnia, tem żywszym strumieniem płynie w masy szerokie myśl i czucie polskie. Jest to wzajemne oddziaływanie, służące ojczyźnie i sztuce. Dziś jeszcze mieszczaństwo ani w narodowym, ani w materyalnym kierunku nie wzniosło się na owe szczyty rozwoju, gdzie królowała kierująca warstwa przeszłości, i dla tego chwilowo zastąpić nie może w całej pełni dawnych filarów sceny poznańskiej, ale nie daleka może ta chwila, gdy ci nowi ludzie i te nowe siły wystąpią z równą świadomością, równą potęgą dążeń artystycznych, równym kapitałem i równą ofiarnością jak ci, co giną pod presyą stosunków i własnych ułomności; wtedy teatr nasz święcić będzie nową erę rozkwitu.

W to wierzę silnie i dla tego mimo ruin i starczej anemii, wyzierającej ku nam w jubileuszowej godzinie z bram teatralnych, nie przyłączam się do chóru pesymistów, wróżących smutnie, że po srebrnym jubileuszu złotego nikt z nas witać już nie będzie. Precz z tą niewiarą! Teatr nie padnie, jeżeli tylko przetrwamy te ciężkie chwile przełomu, a choćby zasnął, to mieszczaństwo znowu do życia go zbudzi. Tą wiarą silni wstąpmy dziś w progi świątyni narodowej, nie z chmurnym „Morituri“ lecz z promiennem „Alleluja“ na ustach.

* * *

Przepraszam z góry czytelników moich, że dzisiejszy feljeton zakończyć muszę zgrzytem polemicznym, ale mając tylko raz na tydzień prawo głosu, nie mogę odkładać rachunków z przeciwnikami naszymi do jutra. List zacnego kapłana, ogłoszony przez nas w ostatnim numerze „Przeglądu“ wywołał w Kuryerowej armii popłoch i zamieszanie; chcąc jednak zamaskować ambaras i osłabić wrażenie publikacyi naszej, oświadczono tam kategorycznie, że list taki ubliżałby każdemu kapłanowi i jest falsyfikatem. Tak! według pojęć „Kuryera“ narodowe stanowisko ubliża duchowieństwu katolickiemu, — ta stara piosnka już nas dziwić przestała. Charakterystyczniejszym jednak jest czelny zarzut falsyfikatu, opierający się rzekomo na tem, że autor listu ogłoszonego w „Przeglądzie“ mianował księdza Stagraczyńskiego „nieboszczykiem“, lubo ksiądz ten żyje na probostwie w Łeknie, o czem każdy kapłan wie niezawodnie. Jakież to marne, słabe i dziecinne, przezacni panowie z „Kuryera“, — wy, którzy udajecie, że figuryczne znaczenia wyrazów: „św. pamięci ks. Stagraczyński“ — mózg wasz nie pojmuje. Posłuchajcie zatem, co w tej sprawie odpowiada wam ten sam kapłan szlachetny, którego list stał się dla was gromem:

Szanowna Redakcyo!

Jak przypuszczałem nie obyło się bez walki, ale zaczepka „Kuryera“ jest tym razem tak naiwną, że niezawodnie od niej głowa was nie zaboli. Dodając litery „ś. p.“ do nazwiska Stagraczyński mówiłem oczywiście obrazowo, chcąc uwydatnić, że kapłan ten jako polityk i dziennikarz — tak głośny w niedawnych jeszcze czasach — już nie istnieje. Pisałem tylko o działaczu politycznym, o redaktorze Stagraczyńskim, a ten już spać się położył.

Tych słów kilka wyjaśnienia racz Szan. Redaktorze zamieścić w łamach pisma swojego i przyjm wyrazy prawdziwego szacunku.

Ks. X.

Cóż na to „Kuryer Poznański“ z swoją udaną naiwnością? Cóż na to redaktorzy jego, — ci „św. pamięci“ patryoci i wolnodumcy?

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Prof. Maryan Jaroczyński. Warszawski „Przegląd tygodniowy“ poświęca prof. Jaroczyńskiemu następującą sympatyczną notatkę:

„Z okazyi zamknięcia w Poznaniu szkoły politechnicznej wieczornej, przypomniało się ogółowi nazwisko twórcy tej szkoły, człowieka, który zasługuje na to, ażeby imię jego stało się głośniejsze i wyszło po za obręb prowincyi. Jeżeli gdzie sztuka miała i ma po dziś dzień grunt bardzo niepodatny pod każdym względem to właśnie w Poznańskiem. Żadna sława na polu sztuki niewybiegła z tych stron, a chociaż kilku ludzi z wyższym polotem starało się rozbudzić zamiłowanie, dobre chęci trafiały na niechęć, albo nawet na złą wolę ogółu. Dla tego też szczególniejszą godzi się nazwać zasługę profesora Maryana Jaroczyńskiego. Twórca wielu obrazów, bądź historycznych, bądź religijnych, sam jeden przez długi szereg lat starał się nieść z godnością sztandar naszej sztuki. Nie nazwiemy go orłem w malarstwie, płótna jego nie posiadają wybitnych cech, ale to jedno, że profesor Jaroczyński, przykuty do taczki obowiązków, jako nauczyciel szkoły realnej, znalazł i czas i chęć, nietylko do pracy nad sobą, ale do kształcenia młodych adeptów, należy mu zapisać jako wielką zasługę. Z jego to ręki wyszedł pomiędzy innymi znany rzeźbiarz Marcinkowski, jemu zawdzięczał przedwcześnie zgasły Sokołowski swoje początki, on wreszcie wpłynął na podniesienie poziomu u wielu rzemieślników poznańskich. Jako człowiek wysoce sympatyczny, typowo piękna twarz i postawa, profesor Jaroczyński liczy wielu przyjaciół, którzy też z pewnością życzą mu, ażeby teraz, po zwinięciu szkoły, mógł oddać się zupełnie tej sztuce, którą tak kocha i szanuje“.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** Po zdobyciu stolicy Howasow Antanariwo przez wojska francuzkie przystąpiła królowa Madagaskaru do rokowań pokojowych. — Położenie na Korei stało się wielce niepokojącem wskutek intryg rosyjskich i chińskich przeciw Japończykom. — We wtorek ubiegły odbyła się uroczystość złożenia serca Ko ciuszki w kaplicy zamkowej w Rapperswylu. Redakcya nasza wysłała na obchód ten telegram następujący: „Oby serce Kościuszki stało się sercem narodu“. — Zjazd socyalnych demokratów postanowił w imiennem głosowsniu 158 głosami przeciw 63 odrzucenie projektu programu agrarnego, przedłożonego przez komisyę agrarną, stosownie do wniosku Kautsky'ego. Przez tę uchwałę poniósł porażkę oficyalny zarząd stronnictwa, i to większą, aniżeli na jakimkolwiek z przeszłych zjazdów stronnictwa, na których zawsze jeszcze udawało się posłowi Singerowi, Beblowi i innym wymową i taktyką powstrzymać zapał i nieumiarkowanie żywiołów radykalniejszych.

* **Teatr i muzyka.** W czwartek wznowiono na poznańskiej scenie komedyę Feuilleta p. t. „Miłość ubogiego młodzieńca“. W sztuce tej wystąpił znowu po długiej chorobie p. Królikowski w roli starego generała, a występ ten stał się prawdziwym tryumfem dla artysty. Grę jego świetnie wycieniowaną i wstrząsającą wielką siłą dramatyczną przyjmowano burzą oklasków. Z innych wykonawców zasługują na wyszczególnienie panie Paszkowska, Majdrowiczowa, Skóraczewska i Vernon oraz panowie Knapczyński, Wostrowski i Wojdałowicz. — Na benefis pani Majdrowiczowej odegraną zostanie w najbliższy czwartek na scenie naszej „Fernanda“. — Nowości niemieckiego repertuaru: Waltera „Panna-doktór“, — Böttchera farsa „Nad Renem“. — Reicheneggera „Zjadacz żelaza“. — Nowy dramat Karola Bleibtreua p. t. „Prawdziwy“ nie znalazł w Sztuttgarcie powodzenia. — Mascagni pracuje nad operą, do której libretto przerobione zostało z „Nany“ Emila Zoli. — Czasopismo paryzkie p. t. „Moniteur de Consulats“ zamieściło entuzyastyczny artykuł, poświęcony pianistce naszej panie Zofii Lubicz-Dzierzbickiej wraz z portretem znakomitej artystki. Artykuł ten ocenia koncert panny Dzierzbickiej na sali Harcourta w Paryżu jako niezwykłe zjawisko w świecie muzycznym i w następujących kończy się słowach:

„Panna Dzierzbicka wywarła nietylko wrażenie zdumiewającem mistrzostwem swojem i siłą na wskroś męzką, lecz również blaskiem słowiańskiej piękności. Można o niej powiedzieć to, co Balzac mówi o Polkach:

„Ange par l'Amour.
„Démon par la fantaisie.
„Enfant par la foi.
„Femme par le coeur
„Homme par le cerveau.
„Poète par le rève.
„Telle est la Polonaise“.

Zmarli:

Dr. August Tebaldi, jeden z najznakomitszych psychiatrów włoskich, prof. uniwersytetu w Padwie, zm. w swej wili nad jeziorem Garda.

Wiktor Rydberg, profesor uniwersytetu w Sztokholmie, wybitny uczony szwedzki, zm. w końcu zeszłego miesiąca.

Odpowiedzi Redakcyi.

Elektra. Nadesłane poezye są wcale niezłe, ale ponieważ w tece mamy znacznie lepsze, więc na razie przynajmniej gościnności udzielić im nie możemy.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.